

P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 18 STYCZNIA 1936 R. * NUMER 3 (120)

TREŚĆ: WITOLD DOROSZEWSKI: Azjatycki „Sen o szpadzie” * JAN TWARDOWSKI: „ * KAROL IRZYKOWSKI: Co to jest zdrada? * ANANJASZ ZAJĄCZKOWSKI: Polacy w Turcji * J. E. SKIWSKI: Sprostowania, sprostowania... * JANINA ANTONIEWICZOWNA: Książka w pracy oświatowej * STEFAN BALICKI: Pytajnik *



JEHUDA WARSZAWIAK: Literatura hebrajska w Polsce * GABRYEL KARSKI: Pamięci matki * WL. SEBYLA: Poezja * BOHDAN KORZENIEWSKI: Teatr * JAN SZCZAWIEJ, ST. SZ.: Idee * J. PUCIATA-PAWŁOWSKA: Plastyka * W. W., JERZY ANTONIEWICZ: Sprawy włoskie * W. BAK: Przegląd prasy.

AZJATYCKI „SEN O SZPADZIE”

W przedrewolucyjnej Rosji partja tak zwanych eserów (socjalistów-rewolucjonistów), przejęta ideami wolności, otoczona aureolą zbrojnej walki z rządem carskim, była zdaje się jedyną, której zwolennicy, bez zgorznienia i wewnętrznego protestu, dopuszczali teoretycznie możliwość powstania niepodległego państwa polskiego. Po rewolucji bolszewickiej esery znaleźli się razem ze swymi dawnymi wrogami na emigracji. Jedynym z ośrodków tej emigracji stała się Praga czeska. I owoż w Pradze założone zostało przez skupionych tam eserów-wygnanców pismo-miesięcznik *Wolja Rosji*. Tytuł ten może znaczyć zarówno *Wola Rosji*, jak i *Wolność Rosji*. Ostatnia interpretacja jest prawdopodobnie właściwsza: terminu *wolja* używali esery w tem właśnie znaczeniu w swym znanym hasle *Zemlja i wolja* — „ziemia i wolność”. Czy pismo to wychodzi dotąd — nie wiem. Widziałem wogóle jeden jego numer — z maja 1928 r., więc numer dość dawny, ale nie wszystko szybko się starzeje, rzecz zaś, o której chcę tu mówić, jak widać, nie starzeje się wogóle. W tym numerze *Wolności Rosji* wydrukowany został pewien wiersz, który niewątpliwie zasiągał na to, by był jak najszerzej znany w Europie.

Autorem jest niejaki Aleksy Ejsmer, z nazwiska sądząc chyba nie od bardzo wielu pokoleń obarczony ciężarem scytyjskiego dziedzictwa. Mimo to trudno o rzecz bardziej tradycyjnie, bardziej na wskroś rosyjską, niż ów jego wiersz. Przypada do pośrednio redakcja pisma w komentarzu, w którym wyjaśnia, że wiersz Ejsmera wydrukowany został nie tylko ze względu na jego wartość poetycką, lecz również dlatego, że „tak dobrze oddaje nastroje, tak często panujące dzisiaj wśród młodzieży rosyjskiej w Rosji i poza jej granicami”. Należy więc chyba rozumieć, że wśród młodzieży rosyjskiej komunistycznej, emigracyjnej monarchistycznej, emigracyjnej lewicowej, krótko, jak stwierdza redakcja: wśród młodzieży r o s y j s k i e j .

W poniższym przekładzie starałem się oddać tekst rosyjski zupełnie dosłownie, czyniąc tylko konieczne ustępstwa na rzecz wymagań składni polskiej. Wydaje mi się, że czytelnik znający język rosyjski często będzie mógł prosto restytuować oryginał zastępując wyrazy polskie odpowiedniami rosyjskimi. Dla ścisłości — bo wierność w stosunku do oryginału jest tu rzeczą ważną — nie przedstawiałem nawet wyrazów tam, gdzie w tekście polskim wypadal rym w prozie. Niestety, numer *Wolności Rosji*, zawierający ten wiersz, zaginął mi a znaleźć drugiego w Warszawie nie mogę; przekładam z pamięci i dlatego w niektórych miejscach są luki. Nie pamiętam również składu i adresu redakcji, której filja w r. 1928 znajdowała się w Paryżu. Nie jestem nawet pewien, — co najgorsza — czy nazwisko autora jest Ejsmer czy Ejsner. Za dokładność natomiast miejsce przytoczonych niżej rymów, Zresztą łatwiej by było, tłumacząc z pamięci, wypaczyć treść prozy, niż wiersz.

Tytuł wiersza: *Konnica*. Oto jego tekst w brzmieniu polskim, które niestety nie pozwala zorientować się w wartości poetyckiej utworu, niewątpliwie bardzo wielkiej (pewien poeta polski, któremu kilka lat temu ten wiersz pokazywałem, tak był uderzony jego niezależnym od treści pięknem, że przełożył go na język polski. Przekładu, o ile wiem, nie ogłosił).

„Tlum zllawi westchnienie głębokie
I urwie się kobiecy płacz,
Gdy wydąwszy okrutnie policzki,
Pobudkę do wymarszu zagra (pochod
sygrajet) trębacz sztabowy.
Lekko się whiją w niebo piki.

Cicho zachrząszczą strzemiona
I ktoś pełnie gestem dzikim
Twoje, o Rosjo, ludy.
...I długo wślad za nimi z łaszł moskiewskich
Będą machać czapkami —
Ale oto lasy, pola, siola, —
Zadowolony ryk muzyckich tłumów,
Świszcząc błysnął ciężki pałasz
I runął słup graniczny.
A z Rosji samoloty
Orli klekot rozpoczęły,
Jak ptaki mrużą się piloci.
Wpijając się palcami w sterownice.
Wyniosły Lach konia siodła,
Podąży naprzeciw dumny Lach,
Lecz za późno: pies tylko szczeka
W spalonych, umarłych wsiach.
Grzinię, sławo suworowska!
Głucha litości, zamilknij!
Niesie mająca już nawyk (priwyczynaja)

Warszawa

Na czarnym aksamicie klucze.
Nastala noc w ogniu i płaczu.
Zatwardziali w okrucieństwie wojacy
(ożestoczennyje bojcy)
Śmiejąc się, gwałcą Polki (Poljaczek).
Lupią kościoly i pałace.
I długo będzie Polska w strachu,
I długo będzie trąba śpiewać —
Lecz oto przed nimi w krwi i pyle
Leżą lany niemieckie.
Nie po raz pierwszy ploną świątynie
Ponurego, posępnego kraju.
Nie po raz pierwszy uparty Berlin
Bije ruble rosyjskie.
Na pustkowiach wyrasta pokrzywa
Z kości ludzkich.
A barbarzyńcy bawarskiem piwem
Zmęczone poją konie.

Lecz próżno spokój śni się żołnierzom,
Trąbka dzwoni: do boju! do boju!
I na francuskie granice
Wiedzie pułki za sobą.
...Przywiązani do wolności (wolnołjubiwye)
chlopi

Jeszcze strzelali w plecy z dachów
Gdy we mgle przedświtu
Przed rekonesansem pokazał się Paryż.
Gdy zaś mgła uniosła się wyżej,
Poprzez dudnienie szyn i wycie syren
Paryż w trwodze usłyszał
Monotonny szczepek podków.
(opis rewji pod Łukiem Tryumfalnym)
...I krzyk rozsądził gęsty tłum
I zachwiał się w posadach stary świat,
Przejechał, szabłą salutując,
Siwy i groźny dowódca.
...A w Paryżankach ogarniętych szaleem
(izstuplennyh)

Krew zaczyna kipieć jak wino
Na widok karabinów maszynowych na
„taczankach”

I oczu kudłatego Machny.
...I w upał i w niepogodę
Ciałami zasypując rowy
Niosą żelazną wolność
Z białokamiennej Moskwy.
...Padł wieczór siny na hulwary,
Jeszcze dźwięczą słowa komendy.
Już pognali wojskowi kucharze
Do Łasku Bułońskiego, rąbać drwa.
...A w upajającym Wersalu
Szczęk ostróg, obcy język
W kominku na lożu baraniiu
Szaszлык na stemplach od karabinów
napelnia swadem powietrze (czadit)
...A w restauracjach gwałt, kaluże —
Dziewczęta wśród oparów wina

O śmierć błagają w niezgrabnych
Rękach Kirgizów i Tatarów.
...Huczą wysokie katedry.
W nich konie parszają w mrok.
Czerkiesi wspominają góry,
Tęsknią za swoim domem.
Dudni wóz obozowy.
W jasnym Luwrze... krzyk
Przed Wenus z Milo
Skamieniał w bezruchu (zastył) zagadkowy
Kalmuk.
Ocknij się, szczęśliwa (błażennaja) Europo,
Strząśnij spokój z pięknych powiek.
Straszniejszy jest od trzęsienia ziemi
i potopu

Najazd dalekiej Azji.
Nie zapominaj o tym pochodzie!
To nie, że minęło wiele lat.¹
Jeszcze w jakimś komedzie
Przechowujesz naramiennik rosyjski.
Ale ty nie wierzysz. Spokojnie
Cedzisz swe cześć i puste życie —
Usłyszysz wkrótce szum bezładny (gul
niestrojnyj)

I skrzyp niesmarowanych wozów.
Módlcie się, tłuszczy paracy,
Do swojej różowej Madonny.
Módlcie się! Żołnierze rosyjscy
Już siodłają konie.“

To poetyckie wyznanie wiary rosyjskiego mesjanizmu jest tak swoiste i wymowne, że ma niewątpliwie wagę historycznego dokumentu. Oto wizja, jaką poeta-wygnaniec karini swoją wyobraźnię: Polska, Niemcy, Francja — części składowe nienawistnej Europy, tradycyjnego „zgnilego Zachodu” — pod władzą barbarzyńskich, azjatyckich (określenia poety) hord, których rozmach wyraża się wszędzie w tem samem: w lupieniu pałaców i kościołów, gwałceniu kobiet, niszczeniu zabytków historii. I niczem więcej. Taki „program” wystarcza poecie i widocznie tym kolom, których nastroje, jak informuje redakcja, jego wiersz ma tak wiernie oddawać. Odnotujemy *curiosum*: redakcja *Wolności Rosji* określa Ejsmera jako „emocjonalnego idealistę”. Szczególna uczuciowość i nie mniej szczególny idealizm: „Europa” istotnie takim rzeczem „nie wierz”, nie może w takich rzeczach wszystkiego, co w nich jest, wysłuchać: niema mostu między Europą a tym światem, którego atawistyczne, stłumione tęsknoty i ślepe, żywiołowe siły zakul poeta w niezwykle rytmicznych, wspaniale wyzyskujących bogate, rdzennie rosyjskie efekty językowe, strofach swego wiersza.

Ze mamy do czynienia „tylko z wierszem”, to nie zmniejsza wagi kwestji. Nie należy lekceważyć słów, a w szczególności słów poetyckich. Owe *flatus vocis* jakże często mają trwałość i moc oddziaływania większą niż przedmioty materialne, wcześniej czy później rozsypujące się w proch — jak rozsypały się w proch formy instytucji caratu.

„Słowa — jak pisał Conrad w ustępie listu, który zacytował prof. Ujejski (*Pion* nr. 117, str. 7) a który właśnie przez różnorodne skojarzenia przywiódł mi na pamięć wiersz Ejsmera — grupy słów, słowa stojące samotnie są symbolami życia, mają w swoim dźwięku lub wyglądzie moc przedstawiania samej rzeczy, którą pragnie się wznieść przed wzrok duchowy swych czytelników. Rzeczy „tak jak są” istnieją w słowach“.

Zwierciadło słów Ejsmera ukazuje nie całą oczywiście rosyjskość, ale jeden z jej aspektów równie osobliwych jak trwałych w swym historycznym dynamizmie.

WITOLD DOROSZEWSKI

Białe listy w niebieskich kopertach wędrują powoli do domu
(uwieczony białych kwiatów szept w cichej głębi niebieskich wazonów).
Kto je tylko brał kiedy na ręce, zawsze mawiać to samo zwykł —
że z tych listów, jak z muszli coś słyhać — przygłuszony, daleki krzyk.

Ale dzisiaj już sama przyjedzie. Kola bryczki żłobią miękki piach —
o najdroższe matki spotkanie. Już za chwilę — w półotwartych drzwiach.
Tutaj będzie napewno ci dobrze i nikt żalu nie będzie miał
za to wielkie swoje zwątpienie, za ten jeden do siebie strzał.

Znowu łóżko pościelę dla ciebie. Jak w dzieciństwie. Tak samo, tak samo...
i wiem jeszcze, że powiesz jak kiedyś: „jak mi dobrze jest z tobą, mamo“.
Nie wierzylaś. A jednak mówiłam. Matka czasem potrzebna jest znów —
by sprowadzać dzieci zalegnięone w cichą północ tajemniczych snów.

Z haftowanej serwetki na stole w okna lampę naftową podniosła —
w szybach jakaś twarz i noc w gwiazd dalekich nieruchomych wiosłach.
Odsunęła niedopitą herbatę. Trzeba podejść. Otworzyć drzwi —
wchłonąć w siebie ciszę zasłuchania, co w konarach tych okien śpi.

— Ktoś na ganku, na wietrze stał, w drzwi kuchenne pukał z całej mocy —
— Czy to prawda? Nie wiem. Mówią na wsi, że panienska umarła tej nocy. —

JAN TWARDOWSKI

¹ Widocznie aluzja do r. 1815.

K 1669/86/M

Biuletyn
WZCZ
Lublin

CO TO JEST ZDRADA?

W Bibliotece Wiedzy Religijnej (Warszawa, Litewska 6) miał dr. Rafał Blüth na zebraniu kół redakcyjnego *Verbum* wykład p. t. „Casus Łobodowskiego”. Józef Łobodowski, młody poeta dotychczas komunizujący, zmienił swoje przekonania i zaczepiony z tego powodu przez Stefana Napierskiego z wyżyn rewolucyjnego rygoryzmu, odpowiedział mu w *Wiadomościach Literackich* dialogiem p. t. „Smutne porachunki”, który wywołał oburzenie w prasie lewicowej. Wanda Wasilewska, młoda powieściopisarka rewolucyjna, w *Robotniku* zgromiła go bardzo surowo za brak szacunku dla heroizmu.

P. Blüth, nie wdając się w sprawy polityczne, wywodzi, że tego rodzaju oświadczenia zmiany wiary jak to, które złożył Łobodowski, są w europejskich kołach komunistycznych, stykających się z Rosją bezpośrednio, dość częste. Łobodowski różni się od nich tem, że wychodząc z jednego środowiska ideologicznego, nie wchodzi w drugie, deklaruje jakąś nieokreśloną panrewolucyjność tak samo w swym dialogu jak w zakończeniu swego tomiku wierszy *Rozmowa z ojczyzną*. Napierski ma w tem rację, że Łobodowski swoją hiperrewolucję chce się obronić przed zarzutem zdrady konkretnej rewolucji. Łobodowskiemu brak przygotowania, jakie powinno poprzedzać takie obrachunki. Ludzie, którzy przeżywają przełom, na pewien czas odseparowują się od rzeczy, które ich podniecały, — aby potem korzystać z wyników wewnętrznej skupienia się (typ: św. Paweł). Może w sprawie Łobodowskiego odegrały rolę jeszcze inne okoliczności, o których nie wiemy i których on nie ujawnił. Bądźco bądź *credo* Łobodowskiego robi trochę wrażenie wewnętrznej fałszy, dlatego że zamiast mówić tylko o sobie, rzuca inwektywy, słuszne czy niesłuszne, na partję, z którą miał styczność. O tyle też Wasilewska miała słuszność.

Ale na korzyść Łobodowskiego powiedzieć można, że całą tę sprawę swoją przeżył wewnętrznie bardzo silnie. Jest to człowiek o pewnej kulturze duchowej. W jego wyznaniach jest wysiłek ku szukaniu prawdy, oraz rozbrajająca naiwność człowieka, który nie umie wziąć pod uwagę momentów konkretnych wszelkiej realizacji rewolucyjnej. Znamienne jest jego wyznanie: „Nie przyczyniłem ekonomicznie popchnięcia nas do buntu — i że jest ofiarą „wiary dziecięcej”. Redagował w Lublinie pismo *Dziwigary*, starając się nadać mu wysoki poziom. Ale już wtedy wtykają mu jego niedociągnięcia jako socjalisty. Jego artykuł p. t. „Likwidatorzy Marxa” świadczy o braku zdolności myślenia abstrakcyjnego. Ciekawe jest, że do swoich przekładów z rosyjskiego wybiera głównie utwory odchyleniowe. Sam pisze wiersz na cześć Kornilowa, wroga rewolucji. Stawia tezę, żeby kultura literacka poprzedzała kulturę proletariacką. Stwarza sobie fikcję jakiegoś wytwornego systemu komunizującego, buduje niejako komunistyczne wieże z kości słoniowej. — co oczywiście godziło w konkretną politykę tych sfer. Łobodowski swoim romantycznym antykomunizmem musiał razić speców rewolucyjnych i wystąpił przeciw niemu.

„Casus Łobodowski” miałby ogólniejsze znaczenie, gdyby nam naprawdę pokazywał ideowy kryzys młodzieży współczesnej. Ten kryzys przecież istnieje. Tworzy się grupy pseudoideologiczne, którym się nie daje żadnej strawy duchowej. Coś podobnego musiało pogmatwać sytuację Łobodowskiego. Z drugiej zaś strony karze się niedowarzone chłopcy za hezjensowne wierszyki, robi się z nich „groźnych przestępców politycznych”. A przecież słusznie powiedział Leon Kruczkowski: „Trzeba bohaterstwa, żeby być dziś młodym i nie być komunistą”. Ze strony komunistycznej znów komplikują sprawę wychowawczo-moralne metody komсомолу i kominternu; są one takie, że młodzi adepci nie mogą wytrzymać w tej atmosferze życia podziemnego. Dzisiaj jest taka paradoksalna sytuacja, że Łobodowski-zdradca mógłby przez sfery kominternowe być traktowany raczej jako wykonawca wallenrodzkiej „jednofrontowości” wskazanego ostatniego kongresu międzynarodówki (wstępować do obcych ideowo organizacji, aby je rozkładać od wewnątrz). Trzeba też sobie uprzytomnić to historyczne tych przemian. Państwo bolszewickie musiało szukać oparcia w nowej, robotniczej lidze narodów, w fikcji jednolitego frontu. Ta fikcja dogadzała starszemu pokoleniu, ale młodzieży socjalistycznej np. francuska domagała się, by właśnie (między komunistami a socjalistami) naprawdę ustąpi. Działo się to jeszcze wtedy, gdy sympatje prosiwieckie w Europie były silne. Tymczasem w Rosji odbywała się innego rodzaju ewolucja. Po zabójstwie Kirowa Stalin, aby zatamować i skompromitować ruch opozycyjny młodzieży, doczepił sztucznie do śledztwa przeciw jego zabójcy Nikolajewowi inny kompleks, a mianowicie sprawę skompromitowanej już opozycji Zinowiewa, Kamieniewa i Trockiego, która już wtedy wpływu na młodzież nie miała. W ten

sposób wdrożył Stalin politykę niszczenia samodzielnosci politycznej komсомолу i komсомол przestał odgrywać wielką rolę polityczną w Sowietach. Według *Socjalistycznego Wiestnika* zaczyna się teraz w Rosji ruch opozycyjny młodzieży, ale szkolnej, i to od lat najniższych. Powstają tajne organizacje, które wydają odezwy. Natomiast w Europie socjalistycznej po historii z Kirowem i wskutek polityki Litwinowa zaczyna się silny ruch antisiwiecki. Międzynarodówka młodzieży socjalistycznej na ostatnim kongresie w Kopenhadze ujawniła podobną ewolucję jak młodzież rosyjska: odsunęto prosiwiecką młodzież francuską, a na to miejsce wysłała młodzież państw północnych i oświadczyła, że wspólnej akcji z bolszewikami prowadzić nie chce, bo w szczytowości ich pozycji nie wierzy.

„Casus Łobodowski” jednak tylko w bardzo małej mierze odbija w sobie te przebiegi współczesnej młodzieży europejskiej, ma charakter zbyt indywidualny i specyficzny.

W dyskusji p. Wojciech Bąk nie uważa sprawy Łobodowskiego za proces jakiegos nawracania się, lecz tylko za proces samoświadomienia się indywidualisty, który wciąż jeszcze sądzi, że jest komunistą. Niezadowolony swoje z idei kładzie on na karb meto- jej realizacji, przypuścił, że widocznie istnieje jakaś wyższa platforma, na którejby mu było wygodniej i powiedział sobie: ja jestem z typu komunistów doktorów, — ale i to mu nie odpowiadało. — Zresztą wyolbrzymiono ważność tej sprawy i ważność samego Łobodowskiego. Ważniejszą od jego przejść psychologicznych jest sprawa presji społecznej, jaka tu działała, i to zwykle „ludzka” różnych organizacji, nawet katolickich i państwowych.

P. Blüth uzupełniając swój wykład, stawia zagadnienie: co to jest zdrada? Gdzie jest a gdzie niema zdrady przy przechodzeniu z jednego stanowiska na drugie? Jeżeli zwarte grupy z każdego takiego faktu tworzą zarzut zdrady, to nie dziwnego, gdyż kieruje nimi instynkt samozachowawczy. Ale sedno rzeczy jest inne. Jeżeli człowiek czegoś nie przemysli, nie przejdzie próby wewnętrznej, nie wolno mu być protagonistą jakichś ruchów. Człowiek nie ma prawa naiwnie przyjmować cudzych poglądów. Tu zachodzi kwestja odpowiedzialności przed samym sobą. Kto wie, czy u Łobodowskiego na tej fazie może się skończyć. Teraz musi pomyśleć o jakimś „przystanku”, ale to już nie tak łatwo. Ale Łobodowski jest arystokratą myśli w porównaniu z całą falangą snobów rewolucjonizmu i bolszewizmu. Dla p. Wasilewskiej wystarczy jako kryterium sama ofiarność. Ale jak ono jest niebezpieczne, dowodem kult Niewiadomskiego, zabójcy prezydenta Narutowicza. To, że ktoś strzelił i sam za to zginął, już wystarczy, żeby uprawiano kult takiej jednostki. Miarą idei bywa też ilość lat, przez które ktoś siedzi w więzieniu. Gdyby za katolicyzm teraz siedziano w więzieniu, jakążył to dla niego było reklamą. A w Rosji, kogoby miała cześć młodzieży? Czy Kirowa, czerwonego general-gubernatora, dygnitarza z ramienia Stalina, czy jego zabójcę Nikolajewa? A przecież obydwa byli bohaterami.

P. Bąk: *Casus Łobodowski* jest za cienki, żeby zeń wyprowadzać takie konsekwencje. Ciężar oskarżenia należy skierować przeciw organizacjom, które organizują już od 7-go roku życia. Ale zachodzi tu jeszcze kwestja natury psychofizycznej. Jedni ludzie od 18-go do 81 roku życia mogą wytrzymać z temi samymi wciąż przekonaniami, inni mają psychikę dynamiczną i zmieniają się. Zdradca jest dopiero wtedy, jeżeli odczuwa zmianę swoich przekonań jako coś korzystnego. Lecz to są zbyt wielkie subtelności dla gminu, który równie pochopnie obwinia o zdradę jednych, jak anektuje drugich. Mogłby przystąpić pisarzy, których sobie różne obozy przywłaszczają jako patronów, a nikt nie rewiduje, czy oni rzeczywiście byli lub są takimi, jakimi według dogmatów danej grupy być powinni (Kasprowicz, Żeromski, Brzozowski). Zresztą można postawić ogólną zasadę: im mniejszy stopień kultury, tem łatwiej szafuje się zarzutem zdrady.

P. Irzykowski: Ale może być jeszcze taki wypadek: istotna zmiana przekonań może pójść równoległe z korzyścią materialną; czy należy się wówczas tej korzyści wyrzec?

Siostra Teresa: Jeżeli istnieje prawda obiektywna, to w stosunku do niej właśnie takie wyrzeczenie się byłoby zdradą, to jest wybraniem gestu zamiast rzeczy.

P. Irzykowski: Znam takich z lewicy, którzy tylko dlatego nie przeszli do obozu Piłsudskiego, aby ich nie posądzono o zdradę, a w gruncie serca byli Piłsudczykami, — że tak powiem: od początku życia.

P. Bąk: Jest heroizm łatwy i jest heroizm trudny. U nas heroizm kieruje się opinią publiczną. Wydaje mi się bezwzględnie, że poznanie ludzkie jest względne, i dlatego istnieje tylko heroizm szczytowości względem samego siebie. Osobliwie dziś istnieje pewna

Gehässigkeit, zajadłość, względem człowieka, który nie wypełnił tej roli socjalnej, jaką mu wyznaczano.

P. Blüth: Mnie idzie głównie o moment głęboko tkwiący w życiu moralnym: że źródłem t. zw. zdrady bywa zwykle błąd, w który ktoś został wtrącony już przedtem, popełniony przez to, że pozwolono mu nie przemyśleć pewnego stanowiska ideologicznego, zawierzono mu, że się już do tego stanowiska przygotował.

P. Irzykowski: Ten moment podniesiony przez p. Blütha, *proton pseudos* zdrady, jest oczywiście bardzo ważny. Jąbym go określił tak: gdybyś był nie kłamcą wiedzą, nie przebowalbyś teraz odwoływać, w sposób, który robi wrażenie zdrady. Przykład: *Zmory* Żegadłowicza. Ale człowiek tkwi w życiu i bardzo często przynależność polityczna bywa przypadkiem, wynikiem różnych okoliczności. Czasem decydują o tem np. przyjaźń lub dobre serce. Ale wobec tego, co mówiła Siostra Teresa, nasuwa się jeszcze inna trudność. Czy wystarczy samo wewnętrzne przekonanie, że zdrada nie została popełniona? Przecież z psychologii jest wiadome, że można przekonać samego siebie, że podświadomość potrafi wszystko zamaskować i zastawić myśli i motywy, a nawet je zrodzić tak, aby człowiekowi wydawało się, że wszystko jest w porządku. Więc nie każdy ma słuszność, gdy powołuje się na to, że w t. zw. własnym sumieniu jest czysty, ho to jego sumienie nie jest tak bardzo własne.

S. Teresa: A jednak, jeżeli istnieje prawda subiektywna, ona jest tą ostatnią instancją, która człowieka obowiązuje w sumieniu do wierności, bardziej niż te lub inne jego poprzednie przekonania. Wówczas znajomość wszelkich możliwych podstępów dialektycznych, płynących ze strony świadomych lub podświadomych stanów emocjonalnych, zmusza człowieka tylko do większej samokontroli, motywów samego działania, do tego co my katolicy nazywamy „oczyszczeniem inten-

cji”, ale nie do braku ufności w możliwość zbliżenia się do prawdy obiektywnej.

P. Bąk: Ale prawda obiektywna jest tylko postulatem i zawsze się człowiekowi objawia tylko subiektywnie.

S. Teresa: Gdy mówimy o prawdzie obiektywnej, to znaczy ona dla nas prawdę poznania tego co jest, a nie tylko tego, co my uważamy za prawdę. Nie jesteśmy tu jeszcze wcale w dziedzinie wiary, ale w dziedzinie poznania rozumowego, które jest podstawą do porozumienia się ludzi między sobą. To jest postawa filozoficzno-realistyczna *par excellence*. Ale wracając do sprawy Łobodowskiego: właśnie przeczytałem jego artykuł z dialogiem i sądzę, że Blüth zrobił mu krzywdę, zbyt nisko go taksując. Robi on sympatyczne wrażenie, wrażenie szczerego i wcale nie dorywczego przemyslenia sprawy.

P. Irzykowski: Ja również miałem wrażenie, że i p. Blüth i p. Bąk nie docenili Łobodowskiego. P. Blüth zlekceważył jego postawę jako niedowarzonego romantyzmu wobec wymagań rewolucji konkretnej. Korzenie się przed bylejaką zakutą praktyką a postponowanie t. zw. świata myśli nigdy nie pozyska we mnie zwolennika. P. Bąk znowuż zdegradował go, robiąc z niego tylko indywidualistę. Z pełnym frazesów artykułem p. Wasilewskiej obszedł się p. Blüth zbyt łagodnie. P. Wasilewska po przeczytaniu dialogu Łobodowskiego nie wiedziała, do czego się przyczepić, a ponieważ musiała napisać: „Zmienił przekonanie, to mu wolno”, poszukała innego odszkodowania: zwymyślała go za rzekomą obrazę heroizmu wogóle.

P. Blüth konkluduje: Chociaż p. Bąk ma częściowo rację, że przesadnie zdramatyzowałem „casus Łobodowskiego”, to jednak sądzę, że dyskusja wykazała, jak bardzo ta sprawa łączy się z głębkimi zagadnieniami natury społeczno-moralnej.

KAROL IRZYKOWSKI

POLACY W TURCJI

Wśród wielu szlaków, znaczonych krwią polskich żołnierzy tułaczy, droga prowadząca przez Węgry i kraje bałkańskie do Turcji zdawała się być w ub. stuleciu, po powstaniu listopadowym, jedyną drogą do odzyskania niepodległości. Polacy licznie napływali do Turcji, z którą łączyły ich silne więzy dawniejszych stosunków i tradycji, znajdujących swój wyraz nie tylko we wspólnie stoczonych bitwach i wspólnie przelanej krwi, z czego później miało się narodzić nieomal braterstwo broni turecko-polskie, ale także i w penetracji obyczajowo-kulturalnej elementów tureckich na ziemiach, zwłaszcza kresowych, dawnej Rzplitej. Bo przecież Polacy z Turkami nie tylko się nawzajem czubili ale i lubili. (Nawiasem dodam, że to przysłowiowe wyrażenie można doskonale oddać po turecku *sawasztılar — sewisztiler!*)

Widomy znak licznej emigracji polskiej w Turcji przetrwał do naszych czasów. Jest nim kolonia polska, założona w latach 1842—47 przez ks. Adama Czartoryskiego i nazwana na jego cześć Adampol (dawniej po turecku *Adamköy*, dziś — *Polonezköy*, „wioska polska”). Wystarczy — jak to uczyniłem przed kilku laty — dostać się ze Stambułu na azjatycki brzeg Bosforu, do Pasza-Bahce, stamtąd przebyć piępiękną drogę (12 klm.), wijącą się wśród gestych zarośli kosodrzewiny i uroczyska pokrytego lasami bukowymi, — a staniami w osadzie polskiej, tak żywo przypominającej nam zamożniejszą wieś w granicach Rzplitej. Tylko gdy dokładnie się przyjrzymy otaczającej nas roślinności, — choćby drzewu, w którego cieniu zaszliśmy do stołu, i spostrzeżemy dojrzewające figi koloru fioletowego. — zrozumiemy, że jesteśmy setki kilometrów na południe od Polski...

Maly komentarz, położony tuż u drogi, za kościółkiem w Adampolu, jakże wymownie świadczy o minionych latach ciągłej walki zbrojnej, w której mieli wreszcie zwyciężyć wierni synowie ojczyzny. Te napisy na grobowcach żołnierzy tułaczy, weteranów kampanji napoleońskiej, węgierskiej, i wielu, wielu innych, — czasem szczegółowe, choć krótkie i lapidarne, — dają nam nieraz więcej do myślenia, niż setki przewertowanych aktów i dokumentów, przechowywanych w archiwach. Piękny nagrobek, wyobrażający strzaskaną kolumnę z orłem polskim, tuż za ogrodzeniem cmentarza wznosi się ponad inne pomniki i przyciąga uwagę przybyszów. Tutaj jest pochowana żona słynnego Sadyk-paszy Czajkowskiego, jak głosi napis:

„Ludwika ze Śniadeckich Sadyk, córka Jędrzeja, synowica Jana, żona generała dowódcy kozaków i dragonów otto-mańskich, zmarła 22 lutego 1866 r. na Dżehangirze w Konstantynopolu, pochowana na ziemi polskiej w Adamköi”.

Heż głębokiego przywiązania zawarto w tych słowach: „ziemia polska w Adamköi”. Tak, ziemia polska, kupiona za polskie pieniądze od ks. ks. Lazarystów, i wykarczowana rękami polskich osadników, co miecze przekuli na lemieszce...

A jakie piękną kartę zawiera ten oto nagrobek:

„S. P. Antoni Wieruski, ur. w r. 1804, zm. 10 czerwca 1869, odbył kampanje: w r. 1830 w stopniu porucznika, w r. 1848 w stopniu kapitana, w r. 1853 w stopniu podpułkownika w kozakach tureckich, w r. 1863 ozdobiony orderem sultana Medżyta w st. pułkownika. Bieg życia bohatera i nader cnotliwy, koniec tragiczny, dla przyjaciół dotkliwy!”

Mniej „bohaterski” bieg życia miał inny osadnik w Adampolu, T. Wilkoszewski, ale zato nie został on „bisurmaninem”, jak głosi nagrobek:

„Cześć prochom Teodora Wilkoszewskiego, zmarłego 22. 7. 1899 żyjąc lat 77, walczył za wolność 1848 r. w Krakowie. Później zaangażowany do wojska tureckiego wraz z 17 kolegami przybył do Konstantynopola, lecz nie chcąc przyjąć warunku zmiany religji, osiadł na kolonii polskiej Adampol w Anatolji, tam się ożenił z Polką, umierając zostawił rodzinę w smutku pogrążoną”.

Częste wypadki przejścia na Islam wywoływały w społeczeństwie polskim obawy i sprzeciw. Musiały one być dość silne, skoro wypadło polemizować z niemi. W okresie poprzedzającym powstanie Legionu Polskiego w Turcji, nieraz zabierano głos w sprawie udziału Polaków w wojsku tureckim. Na głosy protestu odpowiedział m. inn. Fr. Duchyński, słynny twórca teorii o niesłowiańskim pochodzeniu Rosjan, pisząc w broszurce p. t. *Polacy w Turcji* (Londyn 1856, w drukarni Al. Rypińskiego): „Są Polacy którzy pytają: Czy szlachetnie zejść Majorom Polskim na Bimbaszach (tur. *binbaszy*), kapitanom na kolagasów (tur. *kulaghyz*, właściwie „przewodnik, przywódca”). Porucznikom na Juzbaszch (tur. *juzbaszy* „kapitan”), a Podporucznikom na Millazimów (tur. *mülazim*)? Czyż szlachetnie Polakom zostać Baszbyzucami?”

Ojczyzna im odpowiada: uważajcie czy chlubnie i pożytecznie” (str. 11).

Autor tej rzadkiej już dziś książeczki, musiał zwalczać nie tylko niechęć Polaków, wpływającą z połudek natury politycznej, a najeźsiej religijnej, lecz wręcz uprzedzenia pewnego odłamu emigracji polskiej do Turków, stojących rzekomo na niższym szczeblu cywilizacji. „Słyszę przeciwników

naszych. — wola autor — mówiących jak Francuzi i Anglicy: „w Stambule ulice nieczyste”. Ach! my ludzie niesprawiedliwi, namże ganić Turków że nieczyste mają u siebie ulice, nam biednym mieszkańcom wiosek naszych lub Żytomierza, Berdyczowa, Owrucza, Łucka i innych Miasteczek i Miast gdzie powozy z koniami nurzają się w błocie na pierwszych ulicach!” (str. 16).

Swój „odzew do sumienia narodowego” kończy Duchyński nawoływaniem do sojuszu z Turcją, w czym widzi jedyną drogę do odzyskania wolnej ojczyzny: „Nasz sojusz z Turkami niemogący być jak tylko pożytecznym dla Chrześcian, tem jest ważniejszy, że będzie pożyteczny dla Polski niepodległej... Zwłoki tu w Konstantynopolu leżące Konfederatów Barskich: Puławskiego, Szymańskiego i księdza Jarkowskiego na wielkim ementarzu, a posła Chrzanowskiego w kościele Panny Marii na Pera, przypominają nam smutne czasy, lecz razem drogę do P o l s k i p r z e z T u r c j ą. Bowiemy w dziejach narodowych prowadzimy rzecz zaczęta przez Konfederatów Barskich. Pukali oni do Francji i do innych Państw, lecz w Turcji tylko znaleźli prawdziwego szczerzego sprzymierzeńca... Powiadają: Turcja pomagała nam, bo to był jej własny interes. Tak jest, był jej własny interes bronić niepodległości Polski, jak dziś ma własny interes starać się o niepodległość Polski. Dla tej to wspólności interesów naszych z Tureckimi, alians nasz z Turcją jest naturalnym i dlatego drogim nam być winien... Ohy Bóg dał by Turcja była potężna, bo tylko z potęgą Turcji potęga nasza wzrastać może...” (str. 49—51).

Słowa te i refleksje nasunęły mi się przy czytaniu doskonałej książki, jaka się ukazała obecnie nakładem Instytutu Wschodniego o emigracji polskiej w Turcji. Zasłużony badacz dziejów polskich na obczyźnie, długoletni kustosz zbiorów rapperswilskich, dr. Adam Lewak, obdarzył nas nowym studjum, opartem na bogatym materiale archiwalnym. Przedstawiając w dwóch pierwszych rozdziałach stanowisko Turcji wobec powstania listopadowego oraz podstały ideowe stosunków polsko-tureckich w latach 1831—1848, autor omawia w III rozdz. dzieje emigracji polskiej w Turcji po klęsce kampanji węgierskiej oraz w IV rozdziale zagadnienia

ADAM LEWAK: *Dzieje emigracji polskiej w Turcji (1831—1878)*. Warszawa 1935. Nakładem Instytutu Wschodniego w Warszawie, 80. Str. 280.

SPROSTOWANIA, SPROSTOWANIA...

Stanisław Ignacy Witkiewicz w swoim zajmującym artykule o twórczości B. Schulza (*Pion* Nr. 99-100) polemizując z moją recenzją o *Sklepkach cynamonowych* nazywa mnie docentem Uniwersytetu Poznańskiego. Można by te rozkoszną dowolność pominąć, jako szczegół bez znaczenia. Nie chciałbym jednak, bodaj milczeniem, przypisywać sobie tytułu, do którego nie mam żadnego uprawnienia.

Nietylko nie jestem docentem U. P. ale nie przysługuje mi nawet „dr.” ani „mgr.”, a umieszczenie tych czcigodnych zresztą skrótów przed moim nazwiskiem wydaje mi się czemś równie fantastycznym jak artykuł Stanisława Ignacego Witkiewicza, bez „kotka”, „złotka” i innych wrywasów, zaciemniających ciekawe nieraz wywody.

Prof. Kridl, pisząc o *Granicach* Nałkowskiej (*Pion* Nr. 115), zauważa, że sprowadzając treść tego utworu do podsumowania opisywanych w nim wydarzeń, jak to uczyniłem w mojej recenzji *Granic*, pomija się to, co jest w powieści najistotniejsze: jej psychologię i ciekawe właściwości konstrukcyjne; że w ten sposób „streszczając”, można arcydziela takie jak np. *Pani Bovary* sprowadzić do paru banalnych ogólników.

Przyznaję, że wyrazu „treść” użyłem tu niewłaściwie. Należało powiedzieć „fabuła”. Może i ta zmiana nie zadowoliłaby prof. Kridla, który twierdziłby dalej, że fabuła jest tu bez znaczenia, a ważne jedynie dwa momenty psychologiczne i konstrukcyjne, o których tyle subtelnych i ciekawych uwag wypowiedział w swym artykule.

Jahym się jednak przy „fabule” upierał. Jestem nietylko krytykiem, ale i dziennikarzem. Właśnie z mojej praktyki dziennikarskiej wiem, jak bardzo czytelnikowi nie literatowi potrzebne jest takie bodaj ogólnikowe streszczenie fabuły omawianego utworu.

Drogi Zegadłowiczu!

Ktoś ze znajomych mówił mi, że odpowiedziałeś w *Wiadomościach Literackich* na mój artykuł w *Pionie* o Twojej książce. Kupiłem numer tego pisma i przeczytałem Twoją *Grubą Bertę*. Widzę, że masz do mnie żal.

wojska polskiego w Turcji. „Sprawy polskie i wschodnie w okresie powstania styczniowego” wypełniają V rozdział, wreszcie, ostatni, VI rozdział, poświęcony jest stosunkom polsko-tureckim w latach 1865—1878 (Młoda Turcja i Konfederacja Narodu Polskiego).

Nie sposób jest streszczać bogatego materiału zawartego w tych ogólnych ramach. Czyż można dość plastycznie w krótkim streszczeniu przedstawić fantastyczne wprost życie słynnych „poturczyców”, jak Sadyk-pasza Czajkowski (niesławnej pamięci renegeat!); Amurat-pasza Bem, o którym Z. Krasinski pisał: „był tylko żołnierzem, w chwili w której się zanosiło na wojnę, porwał za półksiężyc, jakby za lont nowy do świeżego działu” (A. Lewak, str. 65); Iskender-pasza (Skinder) Hiiński; Sefer-pasza Kościelski i tyłu, tyłu innych? Czyż to nie godne uwagi, że właśnie Polak, Konstanty Borzęcki, który zasłynął później jako Dżelal-eddin-pasza, był prokursorem tak rozwiniętego dziś w Turcji ruchu narodowego i twórcą teorii, tak popularnej w sferach rządzących Turcji dzisiejszej, o pochodzeniu aryjskim Turków! Nie podobna też ominąć działalności T. Orzechowskiego Oksza-beja, jaknajściślej współpracującego z Turkami w dziele odrodzenia państwa tureckiego. Oprócz tych wybitnych osobistości w Turcji działają szeregi skromniejszych, bezimiennych pracowników polskich, organizujących wojsko, kolejniectwo i pocztę w Turcji. Symbolem zaś tej współpracy i przyjaźni turecko-polskiej — jak słusznie konkluduje autor — staje się założona w tym czasie pod Stambulem osada polska. „Adampol stał się punktem centralnym legendy polsko-tureckiej... Ta sama legenda, przedostawszy się do Polski, mówiła o Adampolu, własności polskiej, uznanej przez Turcję mimo tego, że państwa polskiego nie było. Przypominała dawnych rycerskich przeciwników, potem rzetelnych sprzymierzeńców i gościnnych gospodarzy” (str. 264).

Należy się od nas wdzięczność autorowi, że udostępnił nam te piękne karty dziejów emigracji polskiej w Turcji.

Ze stanowiska orientalisty miałbym jedynie do zarzucenia niezbyt poprawną transkrypcję imion własnych tureckich, lub zgola błędne brzmienie wyrazów tureckich (np. dwa razy — na str. 141 i 190 *hatti hamurjun* zamiast *hatti humajun* t. j. pismo cesarskie, manifest). W doborze ilustracji brak zdjęć z Adampola, co z pewnym żalem stwierdzam.

ANANJASZ ZAJĄCZKOWSKI

Przykro mi, ale trudno. Nie mogę tu nie zmienić: ani Twojego żalu ani mojej recenzji. Gdybyś mi to wszystko co znalazłem w *Grubej Bertce* napisał w liście prywatnym, pozostawiłbym go bez odpowiedzi, jako że nie widzę możliwości przekonania Cię. Ale między nami stanął czytelnik. Jemu też należy się wyjaśnienie.

Przyjmij więc te słowa — jeśli możesz — w dobrej wierze, a gdybyś sam zechciał ocenić ich słuszność, sprawiłyś mi tem wielką przyjemność.

Rzecz zasadnicza. Przy końcu Twojej odpowiedzi piszesz: „Na końcu pragnę jak najwyraźniej stwierdzić że zdania:

1. „Zegadłowicz czuje się solidarny tylko z tym rozproszonym w przestworzach pyłem kosmicznym, ale nie czuje się ani trochę solidarnym człowiekiem”;

2. „W świecie Zegadłowicza sprawa ludzka jest skompromitowana raz na zawsze i ryczałtem”;

3. (Takię stanowisko) „trzeba nazwać *destrukcyjnym*, w sensie zupełnie obiektywnym, bez jakiegokolwiek domieszki moralizatorskiej w tym sensie, że jest ono przeciwnieństwem wszelkiego budownictwa społecznego, wszelkiej hierarchii, wszelkiej organizacji”.

są nader trafnym wyciągnięciem wniosków z lektury *Zmor*, są też odurzającą, — acz niezamierzoną — pochwałą”.

Inniemi słowy stwierdzasz, że właściwą tendencją *Zmor* i jej podłożem „światopoglądowe” ocenilem trafnie. Ucieszyło mnie to uznanie dla mojej diagnozy. Bo tylko ten jest sens obiektywnemu krytyka: zdefiniować trafnie to co jest. Poza tem krytyk ma prawo ustosunkować się do omawianego utworu, jak mu się podoba. Ganić go lub chwalić, wyciągać zeń takie czy inne konsekwencje myślowe, społeczne, estetyczne, moralne.

Z prawa tego skorzystałem, nazywając Twoją powieść „anty-ludzką”, lub, jeśli wolisz, nihilistyczną (tak to się nazywa). I nie pojmuję doprawdy istoty Twojego zarzutu: skoro sam przyznajesz, że trafnie ocenilem tendencję *Zmor*, czemu żyzmasz się na mnie, iż wyciągnąłem stąd konsekwencje zgodne z *moją własnym* stanowiskiem? Czyżbyś uważał, że jedyną postawą t. zw. krytyka

wobec t. zw. twórcy winna być czolobitność? Mimo wszystko, nie posądzam Cię o stanowisko tak barbarzyńskie — i tak nudne.

Czytając Twoją *Grubą Bertę*, raz poraz natykałem się na *zamierzone* złośliwości. Ale widzisz, w polemice to jest odwrotnie niż w kodeksie karnym: tu, na naszym gruncie, karalne jest tylko *usławianie*. Zamach *udany* jest dozwolony. Ogłaszam jednak amnestję polemiczną z braku czasu i ochoty do „przewodu”.

Pozostają jednak sprawy, dotyczące już nie nas osobiście, ale naszej pracy literackiej: Twojej jako poety i powieściopisarza — mojej jako krytyka i recenzenta.

Powiadasz, że piszę o Tobie stale „na łonie irytacji, pogardy, antypatii i t. d.”. To fantastyczne oświadczenie skłania mnie do stylu urzędowego (wiadomo, „organ rządowy” — wymagają!). Nieprawdą jest jakoby pisał o Tobie od lat na łonie irytacji. Natomiast prawdą jest, że byłem jedynym w Polsce recenzentem, który entuzjastycznie (tak!) podniósł wartość artystyczną Twoich *Kolegdziółek Beskidzkich*. Ze szczerem uznaniem pisałem też o innych Twoich tomach np. o *Zodjaku*, *Dębach pod Polnią*. Również recenzja o *Podkowie na Progu* nie była pisana „na łonie irytacji”. Owszem, podniosłem bogatą i ciekawą fantastykę tego poematu. Nie mogłem jednak zachwycać się „syntezą myślową”, która wypadła bardzo mizernie.

Nieprawdą jest jakoby korzystał w każdej okazji aby Ci zalać sadła za skórę, z czego rzekomo „żyję” (dawnohom kopyta wyciągnął przy tak wodnistej pożywece!). Natomiast prawdą jest, że dwukrotnie (dawniej w *Pionie*, a ostatnio w *Roczniku Literackim*) domagałem się dla Ciebie nagrody. Tylko że Ty, nihilista społeczny, jesteś „totalistą”, gdy chodzi o Twoją twórczość. Rozumiesz tylko ślepy entuzjazm — lub wrogosć. Ale właśnie te dwie formy są mi zupełnie obce; niweczą bowiem samą krytykę. Znam ten Twój *Standpunkt* — do zdumienia. — Zalatuje mocno, tym razem nie galicyjskim ale warszawskim, podwórkiem.

Wytykasz mi ostrość niektórych zwrotów. Ale słuchaj, krytyka to nie jest czynność taksatora lombardowego; to jest zawsze — mówiąc najprościej — walka o ideał: estetyczny, moralny, społeczny. Krytyk w swej pracy angażuje się uczuciowo niemniej od poety czy powieściopisarza. Dość zabawnie wygląda to patyczkowanie się o jakiegoś ostrzejsze wyrażenie ze strony pisarza, który jak Ty w *Zmorach* podeptał wszelkie konwenansy, napuł na zwykłą ludzką przyzwoitość i walczy — niby to — w imię absolutnej szczerości. Czyż nie miałem racji: świat wolno wywrócić na nice — wara tylko od Mikolajka! (Emilka). Mój drogi, to nie jest gra w *fair!* Jeśli się próbuje w literaturze gestów Attyli i pozuje na „odklamywacza”, to nie można równocześnie oceniać ludzi miarą burżuazyjnego *savoir vivre'u*.

Nie wypieram się ani subiektywizmu w krytyce, ani ostrości. Owszem, bronię prawa do nich, a elaboratom recenzyjnym, które

nie odbijają indywidualności człowieka, od mawiam nazwy krytyki.

Z obrzydzeniem patrzyłem na składane Ci czolobitności snobów literackich, dla których dotąd nie istniałe, którzy nie zauważyli weale Zegadłowicza-autora takich kapitalnych rzeczy, jak *Powesinogi Beskidzkie*, *Kolegdziółki*, *Glaz Graniczny*, a którzy pozuli w Tobie wieszczą *ausgerechnet* w dniu, w którym wypisałeś *en toutes lettres* szereg słów, znanych w „najszerszych sferach towarzyskich”, a poczynających się od głosek *d, h, p*.

Ale mniejsza o snobów. Bardziej obeszły mnie same *Zmory*. Gest *Jaccuse* ma w sobie pewną sztywność i jednostronność — ale może być ludzki i sympatyczny. Nie podzielam Twojej ryczałtowej antypatii do prokuratorów. Nie lubię jednak prokuratorów z przypiętymi skrzydłami aniołka. Zbyt przypominają mi — tak, obrazoburco! — Torquemadę. A ty w *Zmorach* jesteś właśnie takim prokuratorem. Nie potrafiłeś zdobyć się na wielkoduszność Céline'a, który ludzkosć zwał do ryzostoka, ale i sam tam wlaźł. Ten świątka nie odwał! Nie, Ty w swoim procesie ze społeczeństwem nie jesteś nawet „stroną” — jesteś tylko oskarżycielem: zewnętrzny, zimny, pogardliwym. Wciąż umywaś rękę, *pardon*: rączki, rączka „chłopięca”. To ja — a to oni! Br... niesympatycznie!

Pogarda? Niech będzie pogarda. Ale trzeba mieć tyle smaku, a bodaj sprytu, aby jej nie omaślać frazesami o „miłości”. Nie, stety, nie domyśliłeś się tego. Z tą „miłością” jest wogóle najgorzej. Przykro to widok, kiedy piearz nie wie gdzie dlaczego przypnie się do jakiegoś hasła, z którym nie ma nic wspólnego, którego nawet nie rozumie. A faktem jest, że nie istotnego, nie naprawdę ważnego nie umiesz o tej miłości powiedzieć. Jest Ci dostępna tylko w postaci najmniej odpowiedzialnej: jako liryczny obrazek, jako do niczego nie angażujące wspomnienie. Nie znasz jej ścieżek, nie wieś o jej zasadzkach, podstępach, rozkoszach, okrucieństwie. Nie umiałeś nigdy *pokazać* jej dróg. Nie masz nic wspólnego z rodziną pisarzy takich jak Tolstoj, Zerkowski (których nie jestem zresztą entuzjastą), z rodziną wielkich męczenników miłosierdzia. Twoja „miłość” jest literackim frazesem — niczem więcej.

Małostkowość Twojej repliki, zbudowanej na zasadzie („święcie” przestrzeganej przez Warszawę): brać przeciwnika zawsze *in pessima forma*, pozwala mi przypuszczać, że słowa moje do Ciebie nie dotrą. Pragnę więc zakończyć ten list zdaniem, które zrozumiesz napewno.

Insynuacje, iż denuncjuję Cię w opinii i t. p. są bezpodstawne. Mocniejszą stroną jesteś Ty. Za Tobą, nie za mną, stoją murem snoby najmłodniejszych odcieni (a oni jeszcze „póki co” regulują giełdowy kurs powodzenia literackiego). Spij więc spokojnie! Przy Nowym Roku życzę Ci, abyś nie pisał więcej o „miłości”. Proszę Cię, zrób to dla mnie!

J. E. SKIWSKI

KSIĄŻKA W PRACY OŚWIATOWEJ

Książka w pracy oświatowej. Staraniem i nakładem Sekcji Czytelnictwa i bibliotek Komitetu Głównego Tygodnia Książki Polskiej w listopadzie 1933. Warszawa 1935. Skład Główny: Poradnia Biblioteczna Związku Bibliotekarzy Polskich, 8, str. 140.

Oto zbiór krótkich prac dziesięciu różnych autorów, poruszających zagadnienia związane z metodami i formami pracy bibliotekarsko-oświatowej, ze stanem i propagandą czytelnictwa w Polsce.

Pierwsza praca Heleny Radlińskiej pod tytułem *Formy i metody wprowadzania książki między ludzi* porusza ciekawe zagadnienia: 1) znaczenia książki zależnie od wieku człowieka. 2) zależności wpływu książki od dostosowania jej do poziomu umysłowego, oraz 3) pojęcia książki dobrej. Następnie przechodzi autorka do dróg krążenia książki, a więc domu, szkoły, biblioteki publicznej. Ta ostatnia staje się najdostępniejsza i w niej zdobywa się umiejętność samodzielnie wybierania książki. Praca więc bibliotekarza, który nietylko dostarcza książek, ale jest też doradcą, wiąże się ściśle z pracą oświatową.

J. E. Baranowska w pracy p. t. *Samokształcenie w oparciu o książkę* omawia sprawę podniesienia poziomu wykształcenia mas, i przechodzi do zasad samokształcenia, jako formy najbardziej elastycznej. Rozważwszy pokrótce wybór kierunku studjów samokształceniowych, omawia autorka środ-

ki, jakie przy samokształceniu ma do pomocy dzisiejszy człowiek. Pomimo ich wielości, najważniejszym środkiem okazuje się jednakże książka i to w trzech działach: 1) podręcznik, 2) opracowanie pomocnicze (słowniki i t. d.), 3) monografie. Każdy z tych działów ma inne znaczenie w pracy samokształceniowej.

Jan Muszkowski daje szkic *Biblioteki oświatowe w Polsce*. W swem niezmiernie ciekawym studjum, opartem na materiałach zebranych przez Wydział Oświaty Pozaszkolnej Min. W. R. i O. P. przez przeprowadzenie rejestracji bibliotek, porusza autor zagadnienia przeważnie mało znane, a dotyczące bibliotek oświatowych. Po krótkim omówieniu terminologii „biblioteka oświatowa”, przechodzi autor do zestawień liczbowych. Mamy więc w Polsce 8526 bibliotek oświatowych zarejestrowanych z 6.163.590 tomami, z tego 5114 bibliotek wiejskich posiada tylko 1.141.153 tomów. Z liczby 8.526 bibliotek 88,3% utrzymują organizacje społeczne jak T. S. L., P. M. S. i t. d., samorządy zaś tylko 2,7%. Zaledwie więc 2,7% bibliotek ma stałe oparcie o samorząd i może podtrzymywać ciągłość swej pracy, większość zaś jest oparta o dochody niestale poszczególnej organizacji. Także pod względem ilości tomów (dane z r. 1929) wypadła w Polsce 1 tom na 5 głów, gły np. w Czechosłowacji 1 tom wypadła na 2 głowy. Interesujące niezmiernie jest zestawienie wielkości bibliotek:

Biblioteki o ilości tomów	25 — 100	27,7%
.. .. .	101 — 200	22,9%
.. .. .	201 — 500	23,2%
.. .. .	500 — 1000	około 12%
.. .. .	1000 — 5000	12%
..	razem 33,6%
..	25%

Najwięcej zatem jest u nas bibliotek małych. Co do ilości ludzi na tom, to w województwie warszawskim wypadła 6 ludzi na tom, najgorzej zaś w województwie wolińskim, bo 11 ludzi na tom. Ciekawa jest też tabela ilości bibliotek z punktu widzenia językowego.

Z językiem polskim 73,70%, z językiem ukraińskim 14,4%, z językiem żydowskim 8%, z językiem niemieckim 1,5%.

Jeśli chodzi o udostępnianie bibliotek, to następujące zestawienie okaże nam, jak mało są one udostępnione:

Bibliotek otwartych	1 — 2 godz w tygodniu jest	26,3%
" "	3 — 4 " " " "	20 %
" "	5 — 8 " " " "	23 %
" "	ponad 8 " " " "	7,3%

Nie ulega kwestji, że fakt ten wpływa niezmierznie na zmniejszanie się czytelnictwa. Chęć czytelnictwa jest w Polsce duża, ale stan posiadania mały. Warunkiem podniesienia kultury mas jest ustawa biblioteczna, której dzieje autor pokrótce przedstawia.

Najzupełniej z praktyczną pracą w terenie jest związany przyczynek Z. Rodziewiczowej *Badanie terenu i organizacja sieci bibliotecznej* oraz E. Malinowskiej *Organizacja pracy w wiejskiej bibliotece stałej i ruchomej*. Autorka pierwszej rozprawy podaje sposób organizowania pracy biblioteczno-oświatowej w powiecie hrubieszowskim. Jest to więc konkretny przykład, jak w danym wypadku praca została przeprowadzona. Praca więc zbadania terenu szła dwoma drogami: 1) bezpośredniej obserwacji i kontaktu osobistego, 2) tudzież wyzyskania materiałów źródłowych, przeważnie sprawozdań i statystyk. Sieć biblioteczna obejmowała dwie odrębne gospodarczo jednostki: 1) Bibliotekę Publiczną Wydziału Powiatowego i 2) Centralną Bibliotekę, która a) wysyłała komplety ruchome i b) organizowała biblioteki gminne. Centralna więc biblioteka jest tem ogniskiem, promieniującym na cały powiat, jako organ nadzorczy i instruktorski w stosunku do bibliotek gminnych. Biblioteki gminne opierają się o wszystkie biblioteki oświatowe w gminie na zasadzie depozytu oraz świetlicy. Drugą agendą Biblioteki Centralnej są komplety ruchome, stałe i dobrane.

O tych to właśnie bibliotekach ruchomych, stałych i dobranych pisze E. Malinowska. Daje ona krótkie, jasne, treściwe wskazówki, jak prowadzić pracę oświatową przy pomocy takich biblioteczek. Biblioteki stałe mogą powstawać w gminie w oparciu tylko o stały budżet, jeśli mają być żywotne. Najczęściej powstają one tam, gdzie w gminie znajduje się szereg organizacji społecznych. W oparciu jednakże o Bibliotekę Centralną powstają one

znacznie żywotniejsze. Biblioteki ruchome są lepszą formą znów tam, gdzie gmina jest mała lub ma mało organizacji społecznych.

Jadwiga Poczetowska w szkicu *Propaganda biblioteki i książki w bibliotece* zastanawia się nad przyczyną niskiego stanu czytelnictwa i dochodzi do wniosku, że brak systematycznej planowej organizacji w polityce bibliotecznej jest jedną z powodów tego faktu. Propaganda biblioteki bowiem musi być inna w stosunku do 1) szerokiej mas (reklama, krótka informacja i t. d.), 2) małych grup ludzkich, gdzie za-

mienia się na systematyczną akcję wychowawczą, pogłębiającą stosunek czytelnika do książki i połączoną z poradnictwem. Środki tej akcji, zwłaszcza w stosowaniu do młodzieży, muszą być różnorodne, np. żywe słowo, środki techniczne i t. d.

J. A. Święcicka w krótkiej pracy p. t. *Książka w świetlicy* daje znowu konkretne przykłady szerszego uwzględnienia pracy z książką w świetlicy, jak gry, zabawy i t. d. Świetlica bowiem i biblioteka, aczkolwiek są to instytucje odrębne, muszą być w ścisłej współpracy.

J. Augustyniak daje pracę p. t. *Święto książki, istota, zasady organizacji, hasła, cele*. Ponieważ święto książki jest urządane corocznie, przeto rozważania autora na ten temat są zupełnie na czasie. Rozważania te, oparte na doświadczeniach, mają znaczenie realne i pozwolą z czasem osiągnąć większe rezultaty z urządzanego święta książki. Omawia bowiem autor przede wszystkim trudności, na jakie w naszych warunkach napotyka urządzenie takiej uroczystości. A więc 1) zagadnienie hasła, które u nas raczej powinno być, zdaniem autora, kierowane nie w stronę czytelnika, ale raczej instytucji mogących tworzyć biblioteki; 2) ustalenie celu, który powinien być związany ściśle z grupą urządzającą; 3) w obrębie biblioteki akcja powinna obejmować w swej propagandzie, osobno czytelnika a) uczęszczającego do biblioteki i b) mogącego do niej uczęszczać, podejście bowiem do obu grup musi być różne; 4) program święta książki powinien być raczej zwarty niż obszerny i wysuwać zagadnienia najbardziej palące.

A. Mikucka w swej pracy *Wystawa książki* porusza szereg zagadnień związanych z urządzeniem wystawy i nadających się jako tematy wystaw. Następnie daje szereg wskazówek i informacji dotyczących typów wystaw, układu wystawy, gdzie duże znaczenie ma teren i zastosowanie popularyzowania pojęć do poziomu zwiedzającego. Także

organizacja, zwiędzenie i estetyka wystawy wymaga znajomości całego szeregu wskazówek, które podaje autorka.

K. Banach w przyczynku *Konkurs dobrego czytania* przedstawia sposób zorganizowania i rezultaty zastosowania jednego ze środków, mających na celu zbliżenie czytelnika do książki i nauczenie go umiejętnego z nią obcowania. Środkiem tym jest konkurs dobrego czytania i zrozumienia książki, mający zastosowanie przede wszystkim na wsi. Dla działacza oświatowego, pracującego na tym terenie, stanowi ten przyręczony rzecz cenną i ciekawą.

W zakończeniu podano sprawozdanie Sekcji Czytelnictwa i Bibliotek Komitetu

Głównego Tygodnia Książki Polskiej 1933, Aneksy oraz bardzo starannie wybraną i zestawioną bibliografię. Dla czytelnika, pragnącego uzupełnić swe wiadomości w tym kierunku, ma ona znaczenie pierwszorzędne.

Krótkie te prace, dotyczące różnorodnych zagadnień, a dostępne dla szerszego ogółu, interesującego się sprawą bibliotek, wypełnią dotkliwą lukę i pozwolą na wyrobienie sobie należytego sądu w tych sprawach oraz na oparte już na pewnym przygotowaniu ustosunkowanie się do przyszłej ustawy bibliotecznej.

JANINA ANTONIEWICZOWNA

LITERATURA HEBRAJSKA W POLSCE

Polska była w niedalekiej przeszłości, lat zaledwie 20 — 25 temu, jednym z najpoważniejszych ośrodków literatury hebrajskiej. Poza Rosją, gdzie zamieszkiwała i działała lwia część pisarzy hebrajskich, zwłaszcza podczas wojny światowej — najbardziej znamienity był rozwój literatury hebrajskiej na terenie dzisiejszego Państwa Polskiego. Ostatnio zjawisko to uległo gruntownej zmianie. Literatura hebrajska w Polsce znacznie zuhożała. Opuścili Polskę, dążąc przeważnie do tak wspaniale rozwiniętego, wysnionego hebrajskiego „centrum duchowego” w Palestynie, najczystsze talenty literackie, w Polsce urodzone. Do opustoszenia tego nie mało się również przyczynił kryzys na rynku książki, a zwłaszcza prasy hebrajskiej, od szeregu lat dający się we znaki. — kryzys, który tamuje dalszy rozwój literatury hebrajskiej w Polsce. Uniemożliwia on nowym zastępom literackim objęcie miejsc opróżnionych.

Czołowym przedstawicielem współczesnej poezji hebrajskiej w Polsce jest po dziś dzień J a k ó b K a h a n. Swą działalność literacką rozpoczął drobnymi wierszami lirycznymi, w których jaknajbardziej unikal tematów czysto-żydowskich. Pod tym względem zachodzą pewne analogie między Kahanem a klasycznym współczesnym literatury hebrajskiej S a u l e m C z e r n i c h o w s k i m. Kahan jest jednak — w formie jak i w tematyce — spokojniejszy niż Czernichowski. Kahan nie jest burzycielem: gdyby nawet w istocie rzeczy był zwolennikiem burzenia — jest on, jak zresztą lwia część nieskazitelnych liryków, przede wszystkim marzycielem. Marzy o nowych formach życia i piękna na ulicy żydowskiej; marzy o nowym Żydzie, bardziej zdrowym i uświadomionym. W walce o nowego Żyda, tak gorliwie prowadzonej na ulicy żydowskiej w ostatnim 50-cioleciu, Kahan brał udział w sposób

swoisty, w sposób odpowiedni dla czystego liryka-marzyciela: dawał wizje tego pożądanego i upragnionego życia. W ostatnich latach dają się spostrzec zasadnicze zmiany w poezji Kahana. Niemal bezsprzecznie przyczyniły się do nich zmiany, cechujące obecne życie żydowskie, a zwłaszcza rozwój żydowskiej Siedziby Narodowej w Palestynie. Kahan stał się bardziej odważny i bardziej wojowniczo usposobiony, mniej marzy — więcej żąda. Owocem tych zmian są też twory aktualne, zwłaszcza na temat wydarzeń, związanych z Palestyną, np. jego mocny wiersz *Lo nazuz* (Nie ruszymy) w *Hatufie*; utwory, które w twórczości Kahana przed laty byłyby nie do pomyslenia.

Kahan ostatnio już się czuje skępowany i dusi się w wierszach lirycznych. Stąd pochodzi jego coraz bardziej potęgujące się dążenie do utworów na szerszą skalę zakrojonych i o bardziej dosadnej formie, do dramatu. Jego ostatnio opublikowane dramaty, przeważnie na tematy historyczne, jak np. *Melech Izrael* (Król Izraela), ukazują nam poetę w zgola nowym świetle. Okazuje się mianowicie, iż ten czuły i nieskazitelny liryk potrafi operować dialogami dramatycznymi o wielkiej sile wyrazu i wielkim napięciem, jak urodzony dramaturg. Najlepiej jednak czuje się Kahan w dramatach na tle historyczno-legendowym. Jest on pozatem bardzo zasłużonym tłumaczem: przyswoił literaturę hebrajską cały szereg dzieł klasycznych z *Faustem* na czele.

I c h a k K a c e n e l s o n, który z takim rozgłosem i rozmachem wszedł do literatury hebrajskiej, ostatnio stroni nieco od niej. I nie jest to rzecz przypadku jeno, jest to naturalna droga ewolucji twórczej poety. Kacnelson wszedł do literatury hebrajskiej, do poezji zwłaszcza, rozszamani, rozochocony, jak młody, zdrowy ptak. Czysty, rzeźwy wiatr wiosenny powiał w

P Y T A J N I K

W pokoju, oznaczonym numerem siódmym, pracowali trzej urzędnicy. Sebastian Kulon, osiwiły w służbie, samotny człowiek przeważnie regulatorem, wielki gaduła Włodzimierz Bratek i Stanisław Słobicki, o którym mówiono: „djabli wiedzą co to takiego”.

Właściwie wszyscy nie byli tak bardzo przejrzysti jakby się zdawało. Ostatnią zasłonę z człowieka zdejmując dopiero śmierć i dlatego na widok zmarłego jest się oniesmielonym i ma się ochotę zawołać: „cożto za miny wyprawiasz?”, gdyby oczywiście wypadło tak zawołać. W takich sytuacjach tymczasem wypada tylko wysłać ciężkie westchnienie, pełne zdziwienia, że i my kiedyś tak się upozujemy.

Rozmowa toczyła się właśnie o kobietach.

— Zdumiewające to istoty — utrzymywał Bratek potrząsając głową. Czy panowie zauważyli że w twarzy kobiety wszystko jest jakieś miękkie i niewyraźne? Weźmy na przykład nos. Każdy z nas ma przyzwyczajony nos, garbaty jak ten na przykład u pana Kulona, prosty jak u pana, panie Słobicki, i trochę wklęsły jak mój. Jest za co złapać i jest co wytrząść. Można nawet bez pomocy chustki. Można, nic mu nie będzie. A nos kobiety to coś białego, kruche, bez porządnych dziurek, rurczka mąką posypana. A w romansach piszą śliczny, zadarty nosek; ciekawym co jest ślicznego w tem głupstewku? Czy nie mam racji, panie Słobicki?

Słobicki, który zawsze usiłował na każdą kwestję spojrzeć głębiej, skutkiem czego wygadawał głupstwa, rzekł z namysłem.

— To zależy.

— O! Już mu coś zależy. Pan to dopiero niewiadomo co. Zawsze się pan wykręca. W końcu niewiadomo co czarne a co białe.

Sebastian Kulon wpakował z hałasem plik aktów do szafy, zwracając przytem u-

wagę Bratkowi, że cztery ostatnie meldunki nie zostały wciągnięte...

— Wciągnie się, wciągnie, panie Regulator.

— Ale kiedy? Dopóki pan nie popiśnie na karty, nie mogę tych ludzi zaksięgować.

I Kulon swoim zwyczajem jakoś dziwnie cknął czy mślnął, poczem nastąpiło gwałtowne poruszenie głową, która jakby w ten sposób chciała się urwać z szyi, wrzeszcze nastąpiło zdziwione spojrzenie mętnych oczu. Zalutwiwszy te czynności, Kulon siadł i zastępnął w bezruchu.

— Zaksięgować człowieka — westchnął Bratek — wszystko to głupstwa. Niechno panowie sobie przypomną, ileśmy już ludzi w naszym biurze zaksięgowali. Otóż mamy tu na przykład świeżo zapisanego człowieka Stanisława Siejka. Stanisław Siejek urodzony, ożeniony i t. d. Te rubryki mają wszyscy. Ale oto rysopis. Jakże ty, bracie, wyglądasz? Nos prosty, twarz owalna, wzrost średni, znaki szczególne żadne. Idźcież teraz na poszukiwanie Siejka z tym dokumentem. Miljon Siejków znajdziecie. Tak, panowie, księgujemy ciągle tego samego człowieka.

— Co? — spytał Kulon i roześmiał się pobłaźliwie.

— Odróżniają ich nazwiska i daty urodzenia. A to ciekawe byłoby wiedzieć, kto to ten Siejek. Ma lat czterdzieści dwa. O, szmat już czasu przeżyłeś, bracie. Umierał ten, ów, tanten, a ty szczególnym trafem żyjesz, bo nie masz nadprogramowych godzin biurowych. Może kwiatki sobie podlewasz, jak to na wiosnę, a może wyczesujesz z ulubionego pieska pchły. Albo może masz poprostu katar wiosenny i siedzisz na łóżku, moczysz nogi i kichasz, a najstarsza córka przechodzi przez pokój i wrzeszcza ramionami, bo wstydzi się tego, że kichanie ojca słyży sublokator student. A ty psik, psik, jak z pistoletu walisz. A może,

wcale nie siedzisz na łóżku, tylko leżysz na kanapie i dłubiesz w nosie i coś ci tam chodzi po głowie. Kto to tam zaksięguje? Mystysz sobie — przecież wypatrzę, gdzie ta wiedźma chowa pieniądze, wezmę dziesięć złotych i parę wódeczek lupnę sobie w kompaniję i zakąsek zjem dużo i nogę wieprzową. Wróć do domu o trzeciej, a żona spyta gdzie byłeś — Milcz! jedzo — odpowiem jej — myślisz sobie. A tymczasem nigdzie nie pójdziesz. Pójdziesz spać o dziesiątej i gdy będziesz zasypiał, żona każe ci wstać, byś zobaczył, czy drzwi dobrze zamknięte i czy najmłodszy Właduszek nie ma mokro. Nigdy już zuchem nie będziesz.

Gdzież to zaksięgowane? A może Siejek umarł? Może w tej chwili ledwo dyszy, paznokciami chwytając się koldry i błaga: dajcie jeszcze raz pożyć, a pójdzie to całkiem inaczej... I cóż mi z tego, że napiszę, że Siejek umarł, nikt inny, kiedy to właśnie ciągle ktoś inny i ciągle ten sam. Chociaż na przykład nasz Kulon jest tylko Kulonem i nikim więcej. Ta skąpa lysińska, woreczki pod oczyma, jedno ramię wyższe a nawet niezapięty jeden guzik w kamizelce to, rozumie się, Kulon. Jakże go zaksięgować? Oto widzimy go. Siedzi teraz przed swoim pulpitem i nie wie co robić, bo czeka na swoją czwórkę ludzką. Jest trochę zły. Oto mślnął, teraz ruszył głową i znówu potoczył oczami. Trzebało to w znakach szczególnych. Młaska, szarpie głowę a potem pyta się poco się urodził. A czy to byłby cały nasz Kulon? Przecież młaskających jest więcej. A Kulon ma już lat pięćdziesiąt. To młaskanie, to jakby leciutkie zamarszczki na wodzie. Bóg wie co tam ona sobie toczy, przewraca i obmywa na dnie. Pracuje tu z nami pan Kulon lat osiemnaście i nie o nim niewiadomo. Jeżeli człowiek rodzi się i żyje to nie dlatego, by tak istnieć jak kamień przy drodze, który przynajmniej każde kopnięcie od konia i włóczęgi. A przybiegnie jakiś wesół obdartaśnik i rzuci nim w okno bogatego młynarza, też dobrze. Upadnie sobie kamienisko na stół właśnie w chwili, gdy młynarz będzie niósł do ust łyżkę zupy pomodoro-

wej na ten przykład, i będzie sobie leżał na obrusie między solniczką i widelcem i nic go to wszystko nie będzie obchodziło. Ani to, że zupa stygnie, bo młynarz wyleciał z kijem na drogę, ani to, że śluzka młynarza, korzystając z jego nieobecności, wsuwa do ust ogromny kawał kielbasy. Niech tam. Mogę być tu, mogę być tam. Jestem twardy kamień. Mogę wrota podprzeć i mogę wyszlifować nóż, którym chleb rozkroja w chacie albo zarżną w teżże chacie za długa żyjącego ojca rodziny. Kamień można zaksięgować.

Ale człowieka? Człowiek wrzeszczy jak się rodzi. Jest cheiwy życia. I chodzi po świecie, węszy i szuka i zbiera coś sobie, układa, rozpala sobie malutki ogieniaszek i dmucha wąż tak długo, póki w niego nie wleci i nie spali się. Zaksięguje to. Mówiliśmy, panowie, o kobietach. Pozwoliliśmy sobie dotknąć tego kruchego przedmiotu. Masz lat dwadzieścia. Uczysz się, składasz tam może jakiś egzamin albo już pracujesz na siebie i mimoto kształciłeś się jak ja to robiłem. Tak, panowie, pisałem jak dziś piszę, a kształciłem się. Uczylem się ze słownika języka francuskiego, czytywałem to i owo z astronomji i nieraz strach mnie ogarniał, że to głyby człowiek zleciał z ziemi, z tej kulki malutkiej, to musiałby tysiące lat lecieć jak kometa w spodniach. No i cóż? Jednego dnia słońce zaczęło mnie gaskać. I tak właśnie w maju, jak to bywa, wyszedłem sobie pośpiwując. Idzie jedna taka... niewielka, sukieneczka niebogata w groszki, małe rączki w popielatych rękawiczkach i uśmiecha się do mnie. Leciutko. Jak to u kobiet wszystko zwiewne, lekkie, dmuchniesz a frunie. Raz poraz mały rumieńczyk zapędma się na jej twarzy... I cóż? Rozszypałem się cały. Rozleciałem się jak stara szafa. Tęgi byłem chłopak a rozkręciłem się odradu jakby mnie obuchem w leń poczęstowano...

— Poszedłeś pan z nią na kolacyjkę? — spytał nagle Słobicki.

Bratek spojrzął na niego niechętnie. Słobicki odrobinę zmieszany. Pocharowali się obaj czy co? Bratek nigdy tak długo nie gawędził, a Kulon nigdy tak dłu-

poezji hebrajskiej z ukazaniem się tego lekkomyślnego, rozchwianego poety. Jakżeż odmienny był Kacnelson od swoich współtowarzyszy w poezji hebrajskiej, o zmarszczonych state czołach i zboliałych sercach, od tych poetów, u których śmiech zdrowy, wesoly — a nie gryząca satyra — był tak rzadkim, prawie niewidzialnym gościem!

Przeszła wioletoletnia wojna światowa, rzemie, rewolucje. Lata upływają i ten młody, zawsze wiosennie usposobiony poeta postarzał się nieco. Kacnelson już nie może swawolnie śpiewać, rozkolysany bezustannym, niezmaconym niczem śmiechem (gdymy to czynił, byłoby w tem więcej starania o kontynuowanie własnej tradycji poetyckiej, niż oddźwięków własnego „ja”, własnego serca). Poeta poważnieje i wraz z nim poważnieje otaczające go życie. Miejsce uczucia coraz bardziej zniemiennie zajmują myśli, refleksje, ba, filozoficzne spostrzeżenia i uwagi. Jednak czysty liryk walczy w nim jeszcze uparczywie z myślicielem. Przeciąta ta walka niemal się przyczyniła do okresów milczenia poety. Aż wreszcie Kacnelson znajduje wyjście z szamotań wewnętrznych w dramacie, w którym udaje mu się stworzyć syntezę liryzmu i skłonności do zabierania głosu w sprawach otaczającego go świata. Kacnelson jako dramaturg nie spotkał się po dziś dzień z należytem uznaniem. Zasłużoną ocenę otrzyma chyba dopiero wtedy, gdy jego utwory dramatyczne utworzą sobie drogę do repertuaru teatru hebrajskiego, na co zasługują w zupełności.

Dramaturgiem niedocenionym jest również Matysja Szoham. Swą działalność poetycką rozpoczął on cyklem wierszy, w których już można spoznać wiele elementów dramatycznych. Szybko też przetrzącił się prawie zupełnie na pole dramatu. Matysja Szoham jest po dziś dzień najpoważniejszym przedstawicielem współczesnego dramatu hebrajskiego. W swej twórczości dramatycznej ogranicza się dotąd do tematów z żydowskiej prahistorycznej przeszłości. Ten tak cenny i przez wzgląd na dążenia narodowe Żydów tak ważki materiał historyczny opracował w sposób zaiste mistrzowski. Jego dramat historyczny *Jerycho* zajmuje jedno z pierwszych miejsc w hebrajskiej literaturze dramatycznej, wykazującej dopiero w ostatnich latach tendencję do rozwoju, w związku z powstaniem i działalnością sławnej „Habiny” i innych teatrów hebrajskich. Ostatnio wydał Szoham nowy potężny dramat p. t. *Tyr i Jeruzolima*. Równie jak poprzednie dramaty, osnuł poeta ostatni swój utwór na motywach biblijnych. Lecz nie jest to dramat historyczny jeno. Treścią jego jest od wieków aż po dziś dzień trwająca walka między Tyrem a Jeruzolimą, t. j. między światopoglądem żydowskim a nieżydowskim. Ostatni utwór Szohama został

przyjęty z wielkiem uznaniem przez krytykę hebrajską i ma niebawem wejść do repertuaru „Habiny”.

Do poetów zaliczyć należy również Josefa Heftmana, aczkolwiek jest on bardziej znany jako publicysta, aniżeli jako poeta. A przecież z wierszy, rozproszonych po różnych czasopismach widać, iż Josef Heftman jest poetą, jak to się zwykło mówić, „z Bożej taski”, a jego liryka odznacza się tonami czystymi, niezmaconymi sztucznymi słodami wysiłku. Szkoda, iż do dziś dnia Josef Heftman nie zebrał swych rozproszonych po dziennikach i czasopismach poezji — jego sylwetka literacka jako poety wystąpiłaby wtedy wyraziściej i znamiennej. (To samo da się powiedzieć o drugim, zapomnianym już prawie poecie, M. M. Hurwicu, który przed laty był bardzo poczytny).

Wielkie zasługi ma Heftman dla rozwoju prasy hebrajskiej w Polsce Niepodległej; był założycielem i wioleletnim redaktorem całego szeregu pism hebrajskich w Polsce. Jest pozatem również bardzo uzdolnionym i zasłużonym tłumaczem; przyswoił literaturze hebrajskiej szereg najprzedniejszych utworów literatury światowej, z *Glupcem Kellermana* na czele.

Hilel Cejtlin jest bodaj najpoważniejszym przedstawicielem prozy hebrajskiej w Polsce. Jego tak głośne i wpływowe dzieła o chasydyzmie, filozofii żydowskiej, pierwszych pionierach chasydyzmu — już mają swe ustalone miejsce w historii literatury hebrajskiej. Coprawda w ostatnich latach Hilel Cejtlin jest mniej czynny w literaturze niż przed wojną światową, ale ostatnio wydane dzieła o charakterze filozoficzno-narodowo-religijnym, jak naprzykład *Dawar L'aamim*, *Słowo do narodów świata* i in., zarówno pod względem formy jak i

stylu dorównują utworom z jego najbardziej twórczych okresów literackich.

Syn jego, Aron, jako poeta hebrajski wywołał wiele zainteresowania. Jego skłonność do mistycyzmu z jednej strony, a dążenie do nadania swoim wierszom formy najbardziej modernistycznej z drugiej strony — złożyły się na pewien nowy, swoisty *genre* we współczesnej poezji hebrajskiej. Lecz ostatnio Aron Cejtlin przestał prawie zupełnie tworzyć w języku hebrajskim. To też postać jego coraz bardziej usuwa się w cień.

Jako essayista na specjalną uwagę zasługuje Dr. Jehoszua Thon. W tomie *Kawim* (Pisma), który się ukazał przed laty, mieliśmy możność bliżej zapoznać się z tym uzdolnionym pisarzem. Tematy, forma oraz podejście do problemów, w tomie tym omawianych, wskazują na błogosławiony wpływ Achad-Haama, wielkiego myśliciela i filozofa hebrajskiego. Szkoda, że ostatnio bystry i wnikliwy umysł Thona tak rzadko się wypowiada w języku hebrajskim. Jeżeli bowiem jest to pisarz zawsze wnikliwy i dosadny, to jednak najbardziej uderzają nas te cechy w jego pracach hebrajskich.

Ch. Sz. Ben-Awram (Beryk) jest zdolnym nowelistą. Niestety, z wielką szkoda dla oryginalnej prozy hebrajskiej, Ben-Awram poświęcił się niemal zupełnie działalności tłumacza. Jest on tłumaczem wielce zasłużonym: dość wspomnieć, iż on to przyswoił literaturze hebrajskiej *Chłopów* Reymonta, dzieło tak skomplikowane i trudne do tłumaczenia. Pozatem przełożył z literatury polskiej *Irydona* Krasińskiego i cały szereg nowel. Mamy nadzieję, iż Ben-Awram nie poprzestanie na swej pracy tłumacza jedynie i będzie kontynuował z powodzeniem rozpoczętą twórczość oryginalną.

Cwi Wajnberg i Jakir Warsza wski w nowelach swych starali się odzwierciedlić życie Żydów w miasteczkach polskich, skąd pochodzą. Znamienny jest wpływ Asza, zwłaszcza na twórczość Warsza wskiego. Pejzaże polskie a zwłaszcza nadwiślańskie dominują w jego nowelach. Z większych książek Warsza wskiego na specjalną uwagę zasługuje wydany przed wojną reportaż palestyński p. t. *Min hamoledet* („Z ojczyzny”).

Jehuda Warszawiak rozpoczął swą działalność literacką drukiem opowiadań w pismach dla młodzieży. Później wydał pismo literackie *Alim*, dokoła którego grupują się najmłodsze siły literackie w Polsce i na którego łamach publikowali swe pierwsze utwory niektórzy, dziś już znani pisarze hebrajscy. W r. 1928 Warszawiak wydał zbiór nowel polskich p. t. *Meal gad hawisla* (Nad brzegami Wisły), *Beli Imuria* (Bez wiary) i tom artykułów i rozpraw o pisarzach. W r. 1931 wydał powieść p. t. *O rot meofel* („Światła z ciemności”), której tłem jest życie w Polsce w roku 1920, roku inwazji bolszewickiej. W powieści tej opisane są m. in. heroiczne walki wojsk polskich pod Warszawą w obronie stolicy Polski. Ostatnio wydał Warszawiak drugi z kolei zbiór rozpraw i artykułów o najwybitniejszych przedstawicielach współczesnej literatury polskiej i nowy tom prozy oryginalnej p. t. *Atilob*. Pozatem tłumaczył wiele na hebrajski z współczesnej prozy i poezji polskiej. Niebawem ma się ukazać pierwszy tom jego antologii współczesnej literatury polskiej p. t. *Polin* („Polska”).

Zasłużonym tłumaczem hebrajskim z literatury polskiej jest również Abraham Lewinson. Pryswoił on m. in. literaturze hebrajskiej w doskonałym przekładzie trylogię Sienkiewicza, cieszącą się wielką poczytnością u młodych czytelników hebrajskich. Pozatem jest A. Lewinson autorem wielu prac z dziedziny historii literatury i kultury hebrajskiej.

Przegląd powyższy nie jest oczywiście wyczerpującym spisem pisarzy hebrajskich, czynnych w dzisiejszej Polsce. Wliczyliśmy tylko nazwiska najbardziej znane. Obok nich należałoby wymienić cały szereg młodych talentów; niektórzy z nich zapowiadają się bardzo ciekawie i obiecująco, (np. B. Pomeranc, E. Indelman, M. Basali).

Brak prasy hebrajskiej w Polsce niewątpliwie wiele się przyczynił do opustoszenia szranków literatury hebrajskiej w tym kraju, gdzie tak niedawno była ona jeszcze w pełnym rozkwicie. Jesteśmy pewni, iż jest to zjawisko raczej przejściowe, że prasa hebrajska odzyska swą dawną poczytność i przyczyni się do dalszego, szerszego rozwoju literatury hebrajskiej w Polsce.

PAMIĘCI MATKI

*Czy to prawda, że coś z nas jeszcze pozostało,
z nas dwojga — tu, na ziemi? Odgadnąć tak trudno.
Czy tamten świat jest tylko przestrzenią bezładną?
czy duch twój żyje? Nie wiem. Człowiek wie tak mało.*

*Kaleki słuch mój chciwie łowi każdy odgłos.
Wzrok niedołężny bacznie śledzi każdy zarys
stamtąd... Próżne wysiłki: brak mi prostej wiary,
że to czem byłaś — wszystko zaginać nie mogło.*

*Lecz kiedy się — daremna znużony pogonią —
pochyliam nad pisaniem, by uśpić udrękę:
jak niegdyś, jak przed laty czuję twoją rękę,
troskliwie kierującą moją chwiejną dłoń.*

GABRYEL KARSKI

JEHUDA WARSZAWIAK

go nie trzymał szeroko otwartych oczu, któremi wyjadał słowa z ust Bratka.

— Mówią — ciągnął Bratek — próg życia, a potem pełnia życia. I to jest nieprawda. Stukasz i stukasz przez całe życie do drzwi i ciągle wychodzi ktoś inny, nie ten, którego się spodziewałeś. Aż wkońcu wyłazi obskurna zalotnica i podaje ci ramię: „a możeby tak na tamten świat?” A ty się dziwisz, że to już. A gdzież ta pełnia życia? Gdzież jest to co się dopiero zaczęło? Zjysz razem z żoną, dziećmi, jesteście jedno, ale zaksięgować cię trzeba osobno. I to tylko najważniejsze. Gdybyś tak musiał siebie zaksięgować, napisałbyś wyraźnie — Idjota! Z wykrzyknikiem. Wykrzyknik ożywia. Idjota, który powąchał życia, zawróciło mu się w głowie, siadł i przeleżał resztę życia w rowie jak kamień. Tak, panowie. No, dosyć. Trzeba zapisać tych czterech w karty meldunkowe i do domu. Kulon musi ich jeszcze zaksięgować.

Bratek westchnął krótko i zabrał się do pisania. Miał ładny równy charakter pisma. Pisał: Anastazja Kolodziejczakówna, szwaczka urodzona w r... dnia... Kazimierz Pillek subjekt handlowy. Dr. Wincenty Suła, profesor uniwersytetu. Zuzanna Łagodna, ekspedjentka... — nie myślał już przodem, cohy to mogli być za ludzie. Rozmyślał niegłęboko, ale zawsze głośno i gdy przestawał mówić, znikaly mu wszystkie myśli.

Po kilkunastu minutach został Kulon sam. Miał już tylko zaksięgować tych samych ludzi i na dzisiaj robota była skończona. Wziął pierwszą kartę, poczem zamachał pióro, ale ręka jakoś nie chciała sunąć po papierze. Gadanina Bratka wzburzyła go. Pootwierano w nim jakieś drzwiczki i czuje w sobie gwałtowne przeciągi. Szumi, coś szumi. Na dworze wieje wiosenny wiatr. Przez okno widać balkon sąsiedniego domu i ogród. Babina w różowym fartuchu mocuje się z jakimś krzewem. Widocznie chce go wyrwać z korzeniem.

Zuzanna Łagodna — ekspedjentka? Cóż to może być za osoba ta Zuzanna Łagodna? Usiłował się domyślić, ale jakoś nie mu do

głowy nie przychodziło. Ekspedjentki to pewnie te dziewczęta gadatliwe, od których roi się rano w tramwaju. Można je zobaczyć w sklepach jak się kręcą, biegają i uśmiechają. A cóż innego może robić ekspedjentka? Kulon mlasnął, kilkakrotnie poruszył gwałtownie głowę i zajął w drugą kartę. Równie, gładkie pismo obwieszczało istnienie Kazimierza Pilleka subiekta handlowego. Położył te karty obok siebie. I oto Kazimierz Pillek wyslizgnął się ze swojej karty, przysiadł się do Zuzanny i zaczął coś jej szeptać na ucho. Kulon nadśledził ciekawie, ale nie posłyszał żadnego słowa. Szumi coś i szumi. Coś kotłuje, przewraca się, brzęczy, kartki drgają, kręcą się i za chwilę fruną. Z gniewem rozsunął obie karty i włożył osobno pod grube kąski. Ale mały lebek Pilleka wyjrzał natychmiast z pod solidnej oprawy i zawołał — Zuzi.

Kulon pograżył się w tępej zadumie. Właściwie nie był to smutek. Tylko zdziwienie jakby, że ani Zuzanna Łagodna, ani Kazimierz Pillek wcale go nie zauważają, że wymykają się z pod jego władzy. Człowieka nie zaksięgujesz? A jednak oni są tam w tej szafie bardzo dokładnie i sumiennie zaksięgowani. Heż to tysięcy? Strasznie ludno. Kulon obejrzał się z niepokojem i mimo, że bronil się przed tą idjotycką myślą, przyszła. Tysiące ludzi zaczęło się ruszać, szeptać i kręcić niespokojnie. Wielki rozległy szmer jakby tam pochowano nie ładnie zapisanych ludzi, ale niesforne mrowiska.

Kulona po raz pierwszy w życiu poczęła palić namiętna ciekawość. Co to za ludzie? Co kochają i czego nienawidzą. Jakie są ich znaki szczególne? Wziął ze stołu czysty blankiet i napisał jakiegoś niewiadomo czyje nazwisko, które nieraz brzękło mu w głowie. „Wieńczysław Szukart”.

Ledwie odłożył pióro, zobaczył przed sobą Wieńczysława Szukarta. Mrugnął do niego wesoly pijaczyna z komicznym melonikiem nasadzonym na bakier. Przewinął się koło niego lekarz zakazujący mu picia, ale Szukart dał mu szcztuka w nos. — Wiwat! — wrzasnął — wypalanka winna!

Wiwat, rum Jamajka! Idziemy na jednego, Kulon!

Kulon zmarszczył się, westchnął i przekreślił szybko nazwisko. Szukart zniknął. Wziął nowy blankiet i napisał „Bartłomiej Szyszka”. Ach, oto jest Szyszka. Jedzie mizernym wozem w pole. Gnoj wiezie. Nawozi własny grunt. — Tup, tup, tup — pukają wesoło na polnej drodze kopyta konia. Phi, jak ciepło! Trzy baby wracają z koszykami przez pola. Ale ta młoda z chustką żółtą zsuniętą nahok obejrzała się za Szyszką wywijającym wesoło białem i pokazała zęby w uśmiechu. Prrr... Szyszka zatrzymuje konia. Oglupiała dziewczka postawiła koszyk, a tamte dwie baby wracają już same.

Przestraszony Kulon zamazał palcem mokrego jeszcze Bartłomieja Szyszkę. Wziął trzeci blankiet i napisał. „Zofja Kulonowa”. Tym razem zjawila się wysoka, ładnie uśmiechnięta kobieta w niebieskim fartuchu i rzekła:

— Cóż to ty jeszcze w biurze? Chodź, ho kolacja stgnie. Musimy wcześniej iść spać. Zapomniałeś, że jutro wyjedziemy z naszą córeczką na wieś. Dawno należy ci się trzy tygodnie urlopu. Nigdy o nic nie umiesz się upomnieć. Pomyśl! 55 lat twego życia minęło. Wiesz, co to znaczy? To tyle jakby minęło już całe życie.

Kulon przestraszył się i przekreślił Zofję Kulonową. Ale Kulonowa nie zniknęła. Przysiadła się tylko na drugie krzesło i stamtąd patrzyła uważnie na Kulona.

Czemu nie chce zniknąć? Czyżby żona była mu potrzebna? Kiedyś, kiedyś może myślał o żonie i domu. Co jej się zamarzyło o córce? Wycieczka na wieś? Nigdy przecież temi głupstwami głowy sobie nie zaprzętał. Pyta się: coż to z niego za człowiek? Zaraz się zobaczy.

Wziął nowy blankiet i napisał pewną ręką:

„Sebastian Kulon”. Uciszyło się. Niepokojni mieszkańcy szafy ułożyli się szybko w swych rubrykach, powyciągali się i splaszcyli. — No, więc — mruknęła szafa głośnym skrzypnięciem. Kulon uczył z ul-

gą, że zaczyna się zamykać i zapinać, staje się z powrotem twardą wyraźną bryłą zajmującą w biurze krzesło, przy ścianie. Kazimierz Pillek i Zuzanna Łagodna zniknęli bez śladu. Wystarczyło wyciągnąć ich blankiety i przecztać te dwa nazwiska, aby przekonać się, że nigdy nie istnieli. Tylko Kulonowa siedziała jak przedtem, patrzyła uporczywie. I Kulon odzyskał jakby ukłucia drobnych szpileczek pod ten spojrzemien.

Dobrze. Więc tutaj jest łysina, tu cokolwiek garbatego nos, a tu guzik niedopięty kamizelki, o którym wspominał Bratek. Czyżby to wszystko, to nie on sam? Czyż to nie Sebastian Kulon?

Podarł blankiet, wziął nowy i napisał jeszcze raz swoje nazwisko, zaopatrując je ogromnym pytajnikiem.

— Macie — mruknął — oto mój znak szczególny... i djabli wiedzą, poco to wszystko. — Zasłonił głowę rękami i przyrmyknął powieki. Gdzieś w szarej pustce przemknęło widmo nieistniejącego Sebastjana Kulona. Widmo szło łąką i prowadziło za rękę jakąś małą dziewczynkę.

Na drugi dzień rano, Kulon, regulator całego biura, przyszedł najpunctualniej i zgłosił się w kasie.

— Zniszczyłem wczoraj osiem blankietów meldunkowych, chcę za nie zapłacić.

— Pan? — zdumiał się kasjer.

— Ja, oto pieniądze. Osiem razy trzy, dwadzieścia cztery grosze. Proszę o pokwitowanie.

— Panie referencie — uśmiechnął się kasjer — ja właściwie nie mam prawa... każdemu się zdarzy zepsuć. Mamyki nie są wykluczone.

— Nie, panie, ja to zrobiłem umyślnie. Osiem blankietów to jest ośmioro ludzi. Dobry urzędnik powinien to zrozumieć.

Kasjer wzruszył ramionami, wypisał pokwitowanie i czempredęj zasunął okienko.

— Dziękuję — rzekł Kulon i stwierdziwszy czy na pokwitowaniu jest data, uładował się równym krokiem do pokoju nr. 7.

STEFAN BALICKI

POEZJA

TADEUSZ PEIPER. *Poematy*. Zbiór. Kraków 1935. Kolo wydawnicze „Teraz“.

Są to wiersze zebrane z tomów *A, Żywe linje, Raz*, oraz fragmenty z poematu *Naprzekład*, a więc prawie cała dotychczasowa produkcja poetycka Peipera. Niema tego wiele. Wartość zbioru leży w tem, że ukazuje nam w całości sylwetę Peipera-poety. Autor przypisuje swej pracy poetyckiej znaczenie conajmniej epokowe. W przedmowie niedwuznacznie daje do zrozumienia, że niemasz większego współczesnego poety nad niego. „A jednak nikt się nie zna na poezji lepiej ode mnie i z głębi tej wiedzy o rzeczy zapewniam was, że daję wam utwory, które należą do najlepszych, jakie stworzyła współczesność“ — pisze. Oświadczenie to ma sens ten sam, co reklama „najlepszych tutek do papierosów XY“, a przeto należy spróbować peiperowych wyrobów. No i warto zapoznać się z temi arcydzielniami, z których mają czerpać pokarm i siły kolumny przyszych awangardzistów, przyszłe pokolenia i wieki. Peiper w swym artykule *Metafora terażniejszości* pisze: „Podajcie mi trzy metafory, w utworze jakiegoś poety bezpośrednio po sobie następujące, a powiem wam o tym poecie tyleż, co najobszerniejszy jego biograf“.

Spróbujmy zastosować podobną metodę do wiedzy Peipera, zgóry wyrzekając się ambicji powiedzenia o nim wszystkiego. Wybieram dla tego celu nie trzy metafory, lecz całe dwa wiersze. Jeden z nich, *Telegram*, brzmi: „W stoly trzeszczące owocami słowami wyjeżdżam czerwonym słońcem stop przygotujcie lodzie na likierach stop dzień otoczę końcem stop“.

Wiersz drugi — *Twierdzenie*:

„Miasta które aniela znieśli w swej północznej kwiaty które trują się koronką gorsetu wroźbiarce zakupani w chleb, — oczy w portfelu, ceratowe serca i, gdy płoną, swąd kochiety które przynoszą nam codzien listonosze gwałta, kopalnie sławy niektórych poetów, książki które nie chcą mieć czytelników wielu są, są“.

Pierwsze wrażenie po przeczytaniu tych wierszy — to, że mamy do czynienia z ezaradami, a autor jest szaradziatą. Z rozwiązaniem tych szarad mamy sporo trudności. W *Telegramie* emocjonalnie możemy w pewnym stopniu wyuczyć sens dwóch pierwszych metafor, ale zupełnie niezrozumiałe jest powiedzenie „dzień otoczę końcem“. Drugi wiersz daje się rozszyfrować stosunkowo łatwiej. Hiperbola typu „też mi miasto, można czapka nakryć“ w pierwszej linijce (choć mogą tu być inne interpretacje, może bliższe intencji autora, naprz. związek tej metafory ze szmoncesem: „Zareczyłem się z Gitlą. — Co, z tą?... całe miasteczko ją miało. — Też mi miasteczko: 2000 mieszkańców“). Podsumię to też i interpretację tak: Aniela zbiera pieniądze z mwałą o miastach, które ma zamiar zwiedzić), wroźbiarce „zakopani w sprawy chleba codziennego“ i inne przenośnie z tego wiersza, przyjmijmy, że są wreszcie zrozumiałe dla czytelnika. Jakież mogą być jego przeżycia w związku z tym wierszem? Zda mi się, że takie same jak po rozwiązaniu szarady. Przyjemność estetyczna jest tego samego gatunku. Wiersz jest tego typu, że w niczem nie zmieniłaby się istota wypowiedzi autora i jej sens, gdyby zamiast tych wszystkich przenośni, napisać, naprzekład, tylko: „książki, które nie chcą mieć czytelników wielu są, są“, lub doczepiać to orzeczenie „są“ w dowolnym miejscu wiersza. A więc jedyną troską autora było tylko podanie kilku zażytych przenośni. Styl takich utworów Peipera nazwałbym „szaradowym“ i ta szaradowość jest naogół bardzo wyraźna. Naprzekład w takim fragmencie:

„ona czuła się kawalkiem tej ziemi na której leżała,
on nie, on miał tu tylko jeszcze jedno łożę;
ona pogryzła się we wszystko i wszystkiego
stała się cząstką,
on nie on w to się pogryzł, z czego w swe dzieło wyskoczy“.

Peiper bez przerwy kokietuje czytelnika, bawi się z nim w ciuciubabkę. Wygląda to jakby mówił: „Zgadnij, co chciałem przez to powiedzieć, a dowiesz się ciekawych rzeczy“. Cała rzecz w tem, że czytelnik po odgadnięciu nie dowiaduje się niczego ciekawego. Cała problematyczna głębia polega na opisaniu widzianych przedmiotów w zażytych przenośniach. Autor starannie unika nazywania rzeczy po imieniu, krąży tylko kolo niej. To ma być „pseudonimowanie“. Ta wzniosłość metaforyczna Peipera przypomina okres puryzmu językowego we Francji, kiedy to unikano takich powiedzeń jak zęby i t. d., jako wulgarnych, a zastępowano je np.: „umehlowaniem jamy ustnej“. Peiper uważa za „poetyczny“ jedynie taki przesadny, wyszukany styl metaforyczny i jego przesada jest równie śmieszna jak przesada owych purystów. Sztuczna wzniosłość zawsze graniczy ze śmiesznością, szczególnie wznio-

łość w błahych sprawach. I kiedy orientuje się, że w paletycznym wyrażeniu „pod pnieniem sosny stanął i srebrnym lukiem uragał niemu bez żalu“ — chodzą poprostu o oddanie moczu, lub gdy czytam wyrażenie „w ciała swe wsunieci będą kąpać w sobie swe różnice“ — wydaje mi się, że to zwykłe głupstwo ubrane w dostojność, a nie poezja. Przytem niezrozumiałstwo nie gra tu dużej roli. Ostatecznie niema poety, któryby w ten czy inny sposób nie sprawiał trudności w rozumieniu go. Chodzi o gatunek niezrozumiałstwa. Jeśli metafora jest niezrozumiała intelektualnie, jeśli nie da się przełożyć na zwykłą mowę z racji kondensacji przeżyć, zawłóci stosunków, jakie przedstawia, powinna przynajmniej być zrozumiała emocjonalnie. I tak jest u dobrych poetów. Igraszki prerafinowanego intelektu mogą posiadać urok, ale drażnią igraszki intelektu zdegenerowanego. A poezja Peipera wydaje mi się właśnie taką zimną i jałową zabawą. Przykłady, które podawałem nie są reprezentatywne. Można wybierać z utworów autora garściami napuszone, wymódlone w pocie czoła metafory, jak choćby ten obraz, ze *Zwycięstwa dolara w r. 1925*:

„Ze ścian wartych w liczydła skośny dźwięk
czelnył w korsu
i, przeciwszy gniew marzyciela, chwytym
zwyństwem gwał długo,
poczem dolar, napuchły od cyfr a cienięgłymi
cieniami głodu.
czarną pianę strajku w strumieniu krwi rozbełtał
do krzy“.

Tylko część wierszy Peipera można zaliczyć do liryki, i to przeważnie te z pierwszego okresu twórczości, do roku 1929. Wyróżniają się one statycznością motywów i budową typową dla utworów lirycznych. Charakterystycznym chwytym jest w tych wierszach anafora, bardzo często przez Peipera stosowana. Na podobnym chwycie jest zbudowany przytoczony wiersz *Twierdzenie*. Równoległość budowy składniowej dałaby się tu z łatwością zamienić na typową anaforę, gdyby przed każdą linijką postawić orzeczenie „są“. Takim lirycznym wierszem jest utwór „o wyrażnym emocjonalnym podkładzie. W tych pierwszych, wcześniejszych wierszach Peipera można jeszcze dość często spotkać się z próbami kompozycji rytmicznej, opartej o miarowe okresy rytmiczne, gdzie i rym spełnia swą rolę, odpowiadającą metrycznej budowie. Większość wierszy wcześniejszych i wiersze z *Raz* i *Naprzekład* mogą sugerować budowę metryczną tylko tem, że są graficznie rozbite na oddzielne linijki. Ale tu już w żadnym wypadku nie można mówić o jakichś systemach metrycznych poetyckich. Nie widzę też w tych utworach żadnych nadzwyczajności, nowości w dziedzinie rytmiki, jakby to usiłował wmówić w nas autor. Poematy z *Raz* to utwory pisane zwykłą ozdobną prozą. Budowa członów i okresów rytmicznych jest typowo prozaiczna. Rymy, przeważnie oddalone, spełniają tę samą rolę, jaką mogą spełniać rymy w każdej starannie opracowanej prozie. Równie typowa dla prozy jest budowa składniowa i kompleks chwytów i zwrotów retorycznych. Nie widzę tylko w tem wszystkim żadnych nowości, jeśli chodzi o chwyt. Utwory *Na Plaży, Zemsta, Naprzekład* i inne (jeśli pominąć ich układ nazwany przez autora „rozkwitającym“, a polegający na trzykrotnem opracowaniu tematu, za każdym razem coraz szczegółowem) — to nowele, obrazki, wyróżniające się charakterystycznym dla Peipera stylem, przeładownym skomplikowaniem metaforami, których przykłady już wyżej podałem.

W poemacie *Naprzekład* te ozdobne metafory zaczynają nawet grać coraz mniejszą rolę i styl staje się często zwyczajnie prozaicznym. Może wpłynęło na to wybranie tematu, poruszającego zagadnienia społeczne. Daję przykład tego stylu:

„Bar, ciepła mgła, cienne kadłuby,
woń gotowanych zwierząt i głodnych ludzi,
przepraszam, proszę, kto tu się tak tłoczy,
usta w kuflu, nad głowami kelnerskie przeguby...“

Należy zwrócić uwagę, że w poemacie *Naprzekład* bardzo często powtarza się okres rytmiczny o budowie takiej jak trzynastozgłoskowiec, ale brak konsekwencji w wiązaniu go z okresami o innej budowie każe przypuszczać, że występuje on tu przypadkowo, poprostu nawykowo. Rytm trzynastozgłoskowy jest łatwy do przyswojenia, lekko wchodzi w krew, że tak powiem. (Przypuszczam, że mogła tu na Peipera wywrzeć pewien wpływ lektura Mickiewicza, może *Pana Tadeusza*. Prozaiczny *Naprzekład* naprowadzają na ten ślad. Są to jednak tylko moje domysły). Zwracam tu uwagę na trzynastozgłoskowiec w przytoczonym wierszu *Twierdzenie*.

Rekapitulując, poezję Peipera uważam za nieporozumienie, jego rzekome zdobycze poetyckie za chybione, za doprowadzenie do absurdu przesady i wyszukania starych i znanych chwytów poetyckich (*exemplum*: metafora); a poematy z *Raz* i *Naprzekład* za etudy prozaiczne, ciekawe jako próby

prozy ozdobnej, jako wprawki dla zdobycia własnego stylu w pięknej prozie. Ale, powtarzam, ani rusz nie mogę się dopatrzeć w twórczości Peipera tej przełomowej, epokowej roli, jaką autor jej przypisuje. Nie mogę skłonić się ku przypuszczeniu, że odnowienie literatury pójdzie po linii śmiesznych, barokowych zawijasów. Zresztą i sam Peiper w *Naprzekład* — pocihuje się z tej linii wycofuje.

WŁ. SEBYLA

TEATR

TEATR NOWY: *Był sobie więzień*, komedja w 3 aktach J. ANOUILHA, przekład Marii Serkowskiej, reżyserja Aleksandra Węgierki, dekoracje Zofji Węgierkowej.

Uczucia doznawane na tej sztuce mają w sobie coś z tego niepokoju zmieszanego z podziwem, jakiego doświadczamy, patrząc np. na wspinanie się alpinisty po urwistej ścianie. Pomysł komedji jest tak najezony niebezpieczeństwami, że co chwila przechodzi nam przez głowę wystraszona: no, teraz to już autor skręci kark. Myślimy wtedy: szkoda! Posuwa się bowiem z niezwykłą pewnością kroku i umiejętnością zachowania równowagi. To też szybko obawy przerażają się w zaufanie i entuzjazm. Stwarza to wyjątkowe warunki dla uczestniczenia w autorskich zmaganiach się z trudnościami dramatu. Zwłaszcza, że niema tutaj cyrkowej zręczności farsy, jej sposobików wywalania napięcia w śmiechu przez założenie nogi na szyć na szczycie masztu. Satyra, bardzo celna, nie posługuje się zwykłym efektem powiększenia charakterystycznej brzydoty. „Chwył“ jej polega na ukazaniu brzydoty rysów zwykłych, niemoralności przyciętej — takiej, która uchodzi oczom włożonym w pewien konwenans widzenia świata.

Przeżycie umożliwiające przełamanie tego konwensu można nazwać „spojrzeniem na rzeczywistość jakby po raz pierwszy“ czy „odzyskaniem przytomności po spadnięciu z księżycą“. Np.: panowie lysi i rozsądni obwieszają się blaszkami i opasują przez pierś kolorowym galgankiem — jakież to komiczne! Ponieważ niewolno ozdabiać się tak wszystkim, ludzie ambientni ciekawą się do intryg i podstępów, cierpią jak szaleńcy i dają cierpienia innym, wypierają się przekonania, upokarzają w niskich pochlebstwach — jakież to okropne! Przeżycie takie nie jest przywilejem wybrańców, obdarzonych szczególną wrażliwością. W literaturze wytworzyły się dwa sposoby narzucania odbiorcy tego zdumienia i gniewu wobec rzeczywistości, ujrzaną nagle inaczej niż zwykle. Albo więc pokazuje się ją tak, jak odbija się w oczach postaci z obcego, zupełnie odrębnego społeczeństwa, przytem społeczeństwa najczęściej fikcyjnego — poto Montesquieu sprowadza do Paryża Persów a Voltaire każe „Prostaczka“ wychowywać Huronom. Albo też daje się bohaterowi psychologię odmienną, nienależną do szablony form społecznych. „nienormalną“ — tak postąpi sobie Dostojewskij w *Idjocie*. Ten drugi sposób byłby „naturalniejszy“ w dramacie, który jest bardziej od powieści skrępowany w fikcji i wrażliwszy na sztuczność sytuacyjną. Że autor nie zastosował go, wybierając pierwszy, to dowód jak bardzo wyrasta z francuskiej kultury literackiej. Słowa niektórych krytyków (Skiwki) o „Molierze szczeniowym na Dostojewskim“ świadczą o niedostatecznym przyjmowaniu uwag francuskich kolegów, mówiących o kim innym.

Dla zaostrenia wzroku swego bohatera Anouilh pakuje go do więzienia na lat piętnaście. To okrucieństwo przypłaca sztucznością założenia dramatycznego. Więzienie, w opowiadaniach, przypomina raczej wyspę bezładną czy jakiś loch podziemny, gdzie skazaniec otrzymuje pożywienie w dzbanku spuszczanym na sznurze. Niema w nim regulaminów, warsztatów, spacerów przymusowych, straży, lampasów na czapkach, rewolwerów w lakierowanych pochwach — słowem, nieustannego poczucia zależności od organizacji społecznej, ucisku jej twardej form. Jest samotność. Ta samotność z romantycznej poezji, co to wyszlachetnia duszę i zastępuje pięknym marzeniem zacieraający się obraz rzeczywistości. Pod wpływem tej samotności więzień przemienia się w innego człowieka — na papierze. W gruncie rzeczy zostaje tem czem był od początku: personifikacją przeżycia dramaturga. To słabość sztuki.

Jej siłą, tem bardziej zdumiewającą, jest, że nie narzuciwszy nam wiary w odrębność duchową więźnia, narzuca jego sposób widzenia. Społeczństwo oglądamy poprzez tę emanację autorskiego wzburzenia i wstrętu. Rodzina oczekująca Ludwika w porcie nie zwróciłaby normalnie niczyjej uwagi. Żona głupia i zmysłowa, szwagier — drapieżny rekin przemysłu, pasierbica sprzedająca się dla stanowiska, przyjaciel pełen dobrodusznego i nawet tkliwego egoizmu — jakież to wszystko znane, zwyczajne, opatrzone. Wyrazu dość wstrętnego, nabiera dopiero zhliska,

jak twarz kogoś, za kim się tęskni, ujęta w ręce po długim niewidzeniu — pełna zmarszczek, centek i gruzel skóry. To narastanie odrady do ludzi, zrazu schwytych chciwie za ramiona, zostało przeprowadzone z artyzmem wysokiej klasy. Tak, że zakończenie przyjmuje się bez oporu, choć wprowadza dramat w inną niż dotychczas rzeczywistość. Przy opadającej kurtynie więzień zrzuca marynarkę, aby skoczyć w morze i płynąć do jakiejś swojej „słonecznej“ swobody. Tak bardzo mało jest w nim cech ludzkich, że nie martwimy się zupełnie, czy zdola dopłynąć do brzoza. Wiemy, że to okrzyk buntu autora wyraża się przez to pochylenie do skoku za burzę.

Zwłaszcza — że za burzą jest publiczność. Autor umieścił akcję na jachcie czysto konwencjonalnym, żeglującym przez morze bez marynarzy i sternika. Dekoratorka jednak wzięła rzecz poważnie i wystawiła z wyraźną troską o realizm szczegółu na ciasnej i prymitywnej scenie dwa pokłady, oddzielając dolny od widzów metalową barjerą. Skutek był kiepski: aktorzy szukali przez lornetkę wśród publiczności nadpływającej motorówki i więzień dwukrotnie zamierzał skoczyć widzom na głowy. To samo byłoby zapewne przy innym rozwiązaniu dekoracyjnym, ale nie raziłoby wcale, gdyby dekoracja nie apelowała natęczywie do zmysłu rzeczywistości. Poczciwa konwencja, nawyk brania teatru bez namysłu i zdziwienia, sprawia cuda. Dzięki niej szybko przygasa zaostrenia czujność i nie skłaniała do impresji, że pod fotelami są rozkolysane fale albo że jest się na zastawionym amfiteatralnie promie, który płynie obok statku. Sytuacja nie wyglądała dziwniej, niż wtedy kiedy patrzy się na srogie hitwy z w. XVI, tocące się o dziesięć kroków od krzesel. Konwencja ta jednak działa najsprawniej wtedy, gdy nie krzyczy — stąd wniosek: nie trzeba jej drażnić! Napewno lepiej wypadłyby dekoracje dające w grubym zarysie fragment pokładu — taki ponadto, któryby zapewniał aktorom swobodę ruchów. Zabudowanie środka sceny pomostem górnym skierowało cały ruch w jedną stronę i nie dało wyraźnych korzyści. Wzniesienie nie zostało w inscenizacji wyzyskane. Potrzebne było tylko na trybunę dla mowy oskarżycielskiej więźnia. Równie dobrze mógł swój gniew wykrzyknąć, wskakując na byle skrzynię.

Poza tem zastrzeżeniem, trzeba oddać sprawiedliwość świetnym wynikom pracy reżysera. Był tu wreszcie zespół, skoordynowany nad podziw. Nad podziw także równy w grze. Maszyński swoją efektowną ale trochę pustą rolę napelniał wzruszeniem, zadumą, wściekłością, huntelem; ukazał się w nowej postaci, niemal wzbudził wiarę w Ludwika. Gwiklińska miała zadanie wdzięczniejsze — to też ze swych paplanin, przeszkoków z myśli na myśl i z zasmuceni w głupkowatą pogodę zrobiła arcydzieło. Obok tych dwojga: Znicz nieporównany w swej flegmie, niezadarności i onieśmieniu. Chmielewski mocny i zły bez demonizmu, Werno o doskonałej masce, Nakoneczna doskonała bez maski — dotrzymywali im kroku. W tyle, na wiecie metrów, zostawał tylko Michałak, skrepowany i niepanujący nad glosem.

TEATR NARODOWY: *Wielki Fryderyk*, sztuka w 5 aktach ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO, przystosował do sceny Ludwik Soliski, reżyserja Ludwika Solskiego, dekoracje Stanisława Jarockiego.

Jest anegdota o tem, jak któryś ze znakomych aktorów zalał się z przyjaćmi, że wrzucił widzów do leż liczeniem do pięćdziesięciu. Zakład wygrał łatwo. Już przy pięciu czy siedmiu, wymawianych drżącymi ustami jakby w hamowanym płaczu, przeszedł przez widownię szmer współczucia. Osiemnaście urwało się nagle jak szloch — słycać było wycieranie nosów i wrzucenie chrząkania. Trzydzieści, trzydzieści trzy, trzydzieści pięć były wybuchami takiej wściekłości, zapamiętania i rozpacz, że na salę padł błady strach i damy chwytaly towarzyszy za ramiona, wdychając: okropność! Zanim doszło do czterdziestu wypowiedzianych w śmiertelnym znużeniu, już na widowni była cisza, ta cisza zapartych oddechów, która jest najwyższym tryumfem aktora. Nie trzeba było liczyć więcej.

Anegdotę tę przytacza się zwykle na dowód potęgi sztuki aktorskiej i sztuki teatru ludzimu, który egzemplarz dramatu trzymając pod pachą, sądzi, że jest to cały teatr z aktorami, malarzami, maszynierją i sufletem w budce. Przedstawienie *Fryderyka* dostarcza podobnego argumentu. Oczywiście, z tem zastrzeżeniem, że nie jest to złośliwe przyrównywanie sztuki Nowaczynskiego do liczenia choćby do tysiąca pięćdziesiąt. Byłoby to dla niej krzywdzące. Dopiero jednak w takim, jak tutaj, wykonaniu zostaje zorganizowane to towarzystwo postaci, które zbiera się w sztuce na wzór „życia“ bez dramatycznej potrzeby. Ot, aby zagadując się do utraty tehu, odtworzyć zjawiska historyczne, ugrupować się w „malowidło“ obyczajowe i potomnym zostawić naukę. Jest dużo pięknego zuchwałstwa wobec tramtadracji gali-

cyjskiej roku 1909 w tej nauce, jaką daje Nowaczyński społecznemu, ukazując biskupa Krasickiego na dworze nowego pana. Nie poniża się także do patryjotycznego pochlebstwa wprowadzeniem bratanka biskupiego jako pruskiego leutnanta, „do wewnętrznej głębi” przejętego królewskim zamiarem uformowania „trzech eskadronów grenadierów à cheval z samych Polaków”. Mniej jeszcze — w postaci Fryderyka, Igarza, Iakomczucha, złościwa, egoisty, pełnego zdrad i podstępów, ale przytem wielkiego organizatora państwa, nie ponurego zbrodniarza z potocznych wyobrażeń. Wszystko to świadczy o zapalczywej odwadze. Ale, niestety, odważa choćby najwspanialsza jeszcze nie tworzy sztuki. Nawet tej z teorii naturalistów, wykrzykujących, że wszelka akcja w dramacie jest kłamstwem, bo „życie” nie zna ani celowego skupienia wydarzeń ani ich konsekwentnego rozwoju. Poprostu dlatego, że najbardziej zagorzali „naturaliści” gdy przyszło do rzeczy budowali dramat postaremu, poglądy swe zostawiając na cudzy rachunek. Nowaczyński — jeśli to nie jest u niego bezradnością wobec nagromadzonych spotrzeżeń — usiłuje skłócić sztukę z samemu „tła”, zainteresować tylko „środowiskiem”. Rodzi się z tych umiesień twór roztyły, bezkształtny, rozlewający się, choć pełen wewnętrznej energii. Coś jak Leon Daudet optywający stolik podczas gwałtownej filipiki na zebraniu Action Française.

Otóż — teatr komponuje ten chaos. Nie przez swoje „przystosowanie do sceny”, bo nie na wiele się ono zdało, ale przez fakt przeobrażenia słów w mimice, gestie, postawie aktora. Przy udziale Solskiego — bez niego mogłoby ułożyć się zupełnie inaczej — jest to kompozycja „dośrodkowa”. Wszystko na scenie obraca się wokół niego, jest potę, aby temu starcowi w granatowym mundurze i w rajterskich butach dać sposobność do powiedzeń wystukiwanych drewnianym głosem, do skrzywień w uśmiechu, djabełskich chichotów, ujęcia się za strzykające krzyże i wspaniałego spaceru wokół stołu. Ten spacer na zgitych nogach wywołuje najgłośniejsze oklaski — znowu dowód co może aktor: Solski nawet nie liczy, chodzi w milczeniu. — Przedstawienie żyje przedewszystkiem jego niespożytą siłą, młodością, sztuką.

Przez cztery akty. W pierwszym, co rozluje sztukę na dwie części, takim ośrodkiem kompozycyjnym jest Stanisławski — Książę Biskup Warmiński. Fiolety nosi jakby je włożył przed dwudziestu laty. W tem ujęciu Krasicki jest dostojnikiem Kościoła i dworakiem, salonowym wykintnisiem i labodnym pobłażliwym opiekunem. Postać najbardziej rumieniąca po wyjściu na scenę z tekstu; sam biskup wygląda potrosze na rozpięzonego przez gospodynię poczciwego proboszcza. W ten sposób teatr ratuje jak może honor znakomitego pisarza, którego autor oskubał z dowcipu, inteligencji i znajomości — trochę cynicznie — świata.

Plastycznie wyszły również postacie Bischofswerdera (Leszczyński), starego Zietena (Brydzki), Następcę tronu (Różycki), Kunegundy Gockowskiej (Żeliska) i in. Szorstko — generalowej Skórzewskiej (Rotterowa).

Dekoracje Jarockiego wydołyły efekty „naturalnego” wnętrza Sans-Souci sposobem szablonowym; źle wypadły zwłaszcza złoczone obramowania zmniejszające otwór sceny.

Przekonany widąc przez skargi — słusznie! — teatru na zbywanie taniem słówkiem jego wysiłku artystycznego, jeden z recenzentów zajął się dekoracjami Fryderyka i tak zakończył sprawozdanie: „Dekoracje wnętrza w Sans-Souci dał Stanisław Jarocki. Szkoda, że nie dano żadnej sceny na tle frontowej elewacji tego jednego w swoim rodzaju pałacu”. Zważywszy, że w tekście żadna scena nie rozgrywa się na tle frontowej elewacji, a wszystkie w pokojach, życzenie to, powodowane niewątpliwie delikatnym smakiem estetycznym, jest — „jedynie w swoim rodzaju”.

BOHDAN KORZENIEWSKI

IDEE

WŁODZIMIERZ BĄCZKOWSKI: *U źródeł upadku i wielkości*. Warszawa 1935. F. Hoessick.

Niewątpliwie sporo jest słusznych rzeczy w świeżo wydanej książce znanego ukraińskiego Włodzimierza Bączkowskiego *U źródeł upadku i wielkości*. Ale teza przewodnia publikacji, upatrująca interes państwowości polskiej, jeśli idzie o zagadnienie ukraińskie w Polsce, w tem właśnie, że będziemy Ukraińcom pomagali w budowaniu ich niepodległości państwowej i to — kto wie — może jeszcze na naszych ziemiach, zbyt słuszna nam się nie wydaje.

O cóż bowiem właściwie chodzi? Oczywiście, żadnemu narodowi, a więc i Ukraincom nie wolno odmawiać prawa do samostanowienia i układania swego życia w ramach własnej państwowości. Z drugiej jednak strony w stosunkach między dwoma sąsiadującymi narodami istnieją w przeważa-

jącej części sprzeczne interesy, od których zależy, jak te stosunki się układają. Otóż stosunki między państwowością polską a mieszkającymi w państwie polskim Ukraińcami nie układają się w ten sposób i nie ułożą się chyba tak, żeby to, co leży w interesie państwowości polskiej, było jednocześnie interesem narodu ukraińskiego.

Bączkowski powiada, że nie można zagadnienia ukraińskiego rozpatrywać, mając na uwadze tylko mniejszość ukraińską w Polsce. Twierdzi zupełnie słusznie, że dopiero w skali międzynarodowej problem ukraiński nabiera istotnej wymowy i że jedynie w tej skali musi być rozpatrywany, jeśli chcemy uniknąć popelnienia zasadniczych pomyłek. I tu Bączkowski stawia taką diagnozę: państwowość polska ma do wyboru na swojej wschodniej granicy — albo zaboreży imperjalizm rosyjski, który według Bączkowskiego, mimo zmienionych warunków politycznych w Rosji, posiada ten sam charakter i jest tak samo aktywny, jak w latach przed wojną, albo niepodległe państwo ukraińskie, które powstanie przy pomocy Polski i którego interes będzie leżał przede wszystkim w oparciu swego bytu właśnie o Polskę.

Nie wiemy, czy dobrze zrozumieliśmy intencję Bączkowskiego, nie spodziewamy się jednak, by Ukraińcy za cenę pomocy ze strony Polski zgodzili się na to, żeby przysze ich państwo nie obejmowało terytoriów, które stanowią integralną część Rzeczypospolitej, a do których Ukraińcy roszczą sobie pretensje. Ryzykowność koncepcji Bączkowskiego na tem właśnie polega, że nie wiadomo, czy mu się uda Ukraińców przekonać, że istotnie i dla nich jest lepiej tych pretensyj się rzec, aby zapewnić sobie życzliwość Polski, i czy Ukraińcy nie będą czasami, co wydaje się bardzo prawdopodobne, kierować się zamiast rozsądkiem — uczuciem. Trudno zresztą w sprawach tego rodzaju uczucie zupełnie pozbać głosu. A wtedy nie wiadomo, co zyska państwowość polska na swojej pomocy, a udzielonej Ukraincom.

Natomiast wydają się nam mądre i celowe rady Bączkowskiego we wszystkich innych sprawach, z zagadnieniem ukrajinizmu związanych, a nie sięgających tak daleko jak teza czołowa książki. Więc przede wszystkim za bardzo słuszne uważalibyśmy twierdzenie autora o konieczności wystąpienia państwa w roli „generalnego źródła dosytu kulturalno-narodowego i materialnego” wszystkich obywateli narodowości ukraińskiej w Polsce.

„Podobna rola państwa — pisze Bączkowski — jest możliwa, gdyż zasada omnipotencji państwowej we współczesnych organizmach państwowych hynajmniej nie pokrywa się z zasadą unifikacji i niwelacji różnorodnościowych przejawów narodowo-kulturalnych grup narodowościowych jednego państwa. Nawet w jednolitych narodowo-Niemczech hitlerowskich postulat językowy Serbów lużyckich znalazł pewne, taktyczne zresztą i podyktowane znanymi względami „zrozumienie” i jest respektowany. Przejęcie przez państwo całej i pełnej funkcji ukr. szkolnictwa, upaństwowienie ukr. instytucji kulturalnych, jedynie i wyłącznie dobrowolne udzielenie odsetkowo równego Polakom udziału Ukraińców w aparaturze państwowej wraz z dopuszczeniem ich na wszystkie stanowiska, winno leżeć w programie naszego postępowania”.

Metoda bez wątpienia słuszna i naprawdę może przynieść, jako wynik jej stosowania w życiu, przełamanie popularyzowanej przez ukraińskich separatystów doktryny o możliwości rozwiązania problemu ukraińskiego wyłącznie na drodze negatywnego ustosunkowania się do Polski i jej państwowości. Skuteczność tej metody okaże się dość duża, gdy weźmiemy pod rozwagę niewątpliwie sukcesy stosowanej jeszcze i dziś na terenie Z. S. S. R. leninowskiej polityki narodowościowej. Ale ostatecznej pewności i to dać nam nie może. Uszczęśliwiaj tu kogo, człowieku, jeśli ten ktoś nie chce dostrzec tych dobrych chęci i zamiast pozytywnego lub choćby lojalnego ustosunkowania się do swoich wysiłków, robi ci kawały i wszelkimi siłami stara się tobie czy twemu państwu szkodzić. Występuj wobec niego w tym wypadku w roli „źródła dosytu kulturalno-narodowego” i dopuść go wtedy do najwyższych stanowisk w państwie.

Adam Skwarczyński powiedział kiedyś o jednym z referatów W. Mejsbauma na temat kwestii ukraińskiej w Polsce, że reprezentuje pogląd bardzo słuszny, ale że jest tylko artykułem publicystycznym i że zagadnienia w nim poruszone wymagają sztabowego przepracowania. To samo powtórzylibyśmy o pracy W. Bączkowskiego. Do takiego interesującego jego książka dostarczy materiału ogromnie dużo. Tem zresztą więcej, że ujmuje zagadnienie poważnie i w oparciu o ciekawie dobrane materiały historyczne.

JAN SZCZAWIEJ

*

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI: *Myśli o polityce i ustroju narodowym*. Poznań, 1935. Nakładem Wydawnictwa „Awangarda Państwa Narodowego”.

Zbiór ośmiu rozpraw przeważnie drukowanych poprzednio w miesięczniku *Awangarda*. Duża, dziesięcioarkuszowa broszura. Opierając się na analizie dziejowej ewolucji Polski, jakoteż wytworzonego przez nią i przez warunki współczesne położenia obecnego, stara się autor określić stosunek narodu i państwa, oraz zasadnicze linie wytyczne polskiej polityki zewnętrznej i wewnętrznej.

Według p. W., faktem rozstrzygającym o drogach dziejowych Polski jest odsunięcie rdzennego obszaru narodowego w średniowieczu od Odry ku Wiśle, oraz wyrównanie tej straty przez ekspansję na wschód litewsko-ruski. Dzięki temu powstała pewna dwoistość polskiej racji stanu. Obrona głównej masy narodowej przed niebezpieczeństwem zachodnim jest dla nas zadaniem równie żywotnym jak poparcie stanu posiadania na wschód od Buga. Dzięki „sile narodotwórczej” państwa, przesuniętej do przodu i zaprowadzonej do końca, głównie zapomocą racjonalnej kolonizacji wewnętrznej, wskazanej także ze względów społeczno-gospodarczych (przeludnienie wsi zachodnio-polskiej).

W zakresie polityki międzynarodowej nacelnym zadaniem polskiej racji stanu powinna się stać obrona ujęcia Wiśły przed niebezpieczeństwem niemieckim, szczególnie w Gdańsku. Historia bowiem uczy, że od utraty ujęcia zaczyna się proces utraty całego dorzecza, jak to miało miejsce z Odrą. Niemniej doniosłe jest uregulowanie stosunku Polski do Litwy, na które taki nacisk kładł s. p. Marszałek Piłsudski. Z tego punktu wyjścia otwiera się przed Polską ponownie misja dziejowa organizacji wschodu Europy w obronie przeciwko niemieckiemu *Drang nach Osten*. Rasowo-germańskiej idei Hitlera należy przeciwstawić blok wschodni rosyjsko-polsko-słowiański, sięgający od Bałtyku po Morze Śródziemne, w myśl tradycji jagiellońskiej.

Opierając się częściowo na poglądach s. p. prof. Oswalda Balzera, p. W. dowodzi dalej, że w wewnętrzo-ustrojowym rozwoju dawnego państwa wielką rolę odegrała młodość społeczna Polski w porównaniu z zachodem Europy. Budowa nie tylko monarchji piastowskiej, ale także jagiellońskiej, oraz Rzeczypospolitej szlacheckiej w szerokim zakresie wchłonęła pierwiastki, przekazane przez prabyt plemienny-rodowy. W szczególności szlachecki demokratyzm i zanik władzy państwowej z tego źródła przeważnie się wywodzi. Doniosłym zadaniem wewnętrznym nowego naszego państwa staje się wyrównanie tych ujemnych tradycji przez silną władzę według zasad nowej konstytucji. Władza ta jednak powinna swój kontakt duchowy z rządzonymi oprzeć na idei narodowej. Idea ta w Niemczech usunęła rozbieżności feudalne, w Polsce zaś posłużyć musi do usunięcia szkodliwego rozdwojenia pomiędzy narodem a państwem, wynikłego ze zbyt jednostronnych „orientacji” z czasu wielkiej wojny.

Ogólna tendencja pracy p. W. odpowiada tedy ściśle programowi „państwo-narodowemu” znanej grupy secesjonistów ze Stronnictwa narodowego. Płodną na przyszłość może się okazać metoda autora, który opierając się na dużej erudycji historycznej, usilnie i bezpośrednio stara się korzystać z współczesnego rozumowania politycznego z oryginalnie nieraz oświetlanymi doświadczeniami przeszłości. Niestety są to dopiero pierwociny socjologicznego traktowania historii. Najcenniejsza z myśli p. W., czy też s. p. prof. O. Balzera, o wpływach plemiennego prabytu na ustrój rzplitej szlacheckiej, słabo jeszcze została rozwinięta, silniej przytem w szczegółach niżli w postawieniu zasadniczym. Obyczajem erudytów, szczególnie, zresztą zajmującymi, autor nieco przedładował książkę i przysłonił przejrzystość swej myśli przewodniej. Nie wszystkie też oceny faktów, tak minionych jak współczesnych, wydają się trafne, a zwłaszcza związki pomiędzy przeszłością i teraźniejszością, nieraz ujmowane są zbyt mechanicznie, powierzchownie i dlatego błędnie. Wykład dość suchy, marnuje wielkie literackie walory wspaniałego tematu.

W każdym razie praca p. W. jest wynikiem poważnego wysiłku badawczego i przynosi niejedną myśl interesującą.

ST. SZ.

PLASTYKA

WYSTAWY W I. P. S.

Przed dziesięcioma laty stowarzyszenie Artystów Grafików „Ryt”, zainicjowane przez prof. Skoczylasa urządziło swą pierwszą wystawę (w salonie Garlińskiego); potem kolejno przychodziły pokazy, w rocznych (od 1929 roku począwszy) odstępach, następnie długa przerwa i wreszcie wystawa obecna. Zmienił się przez te lata skład członków „Rytu”, ubył przedewszystkiem Skoczylas, któremu obecną wystawę artyści poświęcili, przybyli młodzi, rozwinęły się początkujące wówczas talenty, dojrzały owoc pracy, skrzystalizowały się indywidualności.

Z założycieli stowarzyszenia wystawił swe prace prof. Bartłomiejczyk o tematach z Huculszczyzny, wypowiadając się dobrze i solidnie w obrębie ściśle sprecyzowanych zadań i dążąc techniki drzeworytu; Wąsowicz, traktujący przedmiot przedstawiany malarsko, Cieślowski junior, który realizm swych dawniejszych fragmentów miasta przemienia obecnie na „zaulki marzenia” i

tematy morskie, operując finezyjnie kreską i poszukując miękkich form w „profilu”.

Krasnodelska-Gardowska wystawiła cykl czarnych drzeworytów p. t. *Drzewa Polskie*, o formach nieco ciężkich, ponadto pełne lekkości drzeworyty barwne. Podowski w tematach i technice pragnie przezwyciężyć prawną wytworzone przez drzeworyt.

Do „fachowych” drzeworytników należy Ostoja-Chrostowski, który wystawił kolekcję ilustracji do książek, winiet, exlibrisów i innych prac odnoszących się do grafiki użytkowej, wykazujących, jak zawsze, doskonałe opanowanie rzemiosła drzeworytniczego, spokój i umiar. Mroźewski natomiast oszafami bogactwem techniki (która niekiedy przywodzi na myśl miedzioryt) i przeladowaniem tematycznym, które powoduje zupełnięcie drzeworytu jakby do ilustracji tylko przeżyć literackich. Uderza przytem niekorzystnie nierównomierne traktowanie przedmiotu: obok naturalistycznego ujęcia—wizyjne.

Interesujący technicznie drzeworyt barwny (wykonany nie z dwu płyt, jak normalnie, lecz z jednej, zapomocą nałożenia na walce dwu barw), wyobrażający zestawienie pełnej dynamiki grupy rzeźb na tle spokojnej fasady pałacu — dał Gardowski, prezes „Rytu”. Wyróżniają się też prace Mantuffla, operującego z upodobaniem bardzo oszczędnie czarną kreską z pozostawieniem wielu form białych i tła. Pozatem wystawili swe prace Kulisiewicz, jak zawsze mocno ekspresyjny, Różycka, wyróżniająca się formą impresjonistyczną, niewłaściwą drzeworytowi. Średnieki, którego szereg autolitografij ujęty jest w niezamkniętą kompozycję, oraz Tyrowicz, Sopoćko, Hładkówna, Duninówna i Goryńska.

Wśród zaproszonych gości pracę Jurgielewicz wyrażają się widocznym dążeniem do rozwiązywania trudnych zadań kompozycyjnych i subtelną techniką graficzną; Telakowska dała kilka jak zawsze gustownych drzeworytów barwnych, a Obrębska mocny w wyrazie wizerunek Chrystusa. Nadzwyczajnie starannie wydany katalog „Rytu”, opracowany graficznie przez Chrostowskiego, realizuje wyraźnie hasła podnoszenia smaku artystycznego poprzez grafikę użytkową.

Wśród grupy artystów lwowskich niewątpliwie interesującą przedstawia się Wojciechowski. Młody ten artysta próbuje osiągnąć własny wyraz na drodze różnych kompozycyjnych, kolorystycznych, tematowych i technicznych poszukiwań. Każdy z jego obrazów wykazuje wysiłek twórczy, zdradzający czasem oparcie się o wysokie wzory (np. *Mówca* — Daumier).

Hahn konsekwentnie realizuje zasady surrealistyczne, operując ciężkimi barwami. W obrazach Sielskiego mocno przebiega wpływ Rousseau, który pewno należy traktować jako fazę przejściową talentu, mającego, zdaje się, coś do powiedzenia. Wodzicka rozwiązuje swe kompozycje, zbudowane z szeregów płam, o barwach ostrych — płasko. Pozostali artyści: Radnicki, Kramarczyk, Krzyżanowski wystawili szereg prac, przeważnie krajobrazów, mniej lub więcej dobrych, nie odbiegających swem ujęciem od prac spotykanych w innych grupach.

Na marginesie wystawy Stanisława Noakowskiego podkreślić trzeba zwycięskie oparcie się jej organizatorów pokusie pokazania za wielu prac, łatwo dostępnych.

W okresie poświęconym holdowi Noakowskiego wydawać się może, że nie czas na rewizję stosunku do tego twórczości, niemniej wyraźnie jej potrzeba się nasuwa. Oto bowiem już dziś zarysowuje się prawda, że najwyższe swe wartości: genialną zdolność wywoływania wizji, przeżyć artystycznych na papierze czy tablicy, rozplamianie entuzjazmu dla sztuki i jej dziejów — zabrał Noakowski ze sobą, że prace jego, pełne niestety niezwykłego uroku i mistrzostwa, nie powinny być traktowane z punktu widzenia fachowo plastycznego, że jego wielkie możliwości malarskie, technika dostosowywana intuicyjnie do obiektów przedstawianych, były oddane w służbę idei, która nie mieściła się bez reszty w wymowie plastycznej.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA

SPRAWY WŁOSKIE

Z POEZJI KORSYKAŃSKIEJ

Dialekt korsykański, „najbardziej toskański z pośród dialektów włoskich” posiada piękną przeszłość literacką, a dziś rozkwita w poezji bujniej, niż kiedyindziej. Poza szkołą i urzędami, gdzie obowiązują francuski, całe życie wyspy wyraża się w dzwicznym narzeczu, które stworzyło liryki ludowe podawane ustnie: *lamenty, paghielle*, stare legendy *stabatoghi*; poeci zaś nieprzeciętnej miary stworzyli poezję literacką w całym znaczeniu tego słowa.

Wśród zmarłych wymienimy zasłużonych dla literatury Luciana, Maschetti, Lucciar-

di, Cristini, Paoli, Ortolini, Giovannelli i Bonifacio; wśród żyjących, ale może już nie-współczesnych wybili się: Casanova, ojciec Alfonsi, ksiądz Carloti, Pinciu, Minicale; z tych, co dziś przemawiają najżywiej do młodego pokolenia, uzyskali już stanowisko w literaturze Angeli i Filippini, a wiele obiecujących talentów pracuje i może załablynie wkrótce sławą, przysparzając laurów swojej Korsyce i korsykańskiemu dialektowi.

Wśród najmłodszych, dwudziestopięcioletni Pietro Giovacchini staje godnie obok najwybitniejszych poetów. Pochodzi ze znakomitej szlacheckiej rodziny, która posiada w swojej historii tradycje żołnierskie i polityczne. Babka młodego poety, blondynka o niebieskich oczach, zasłynęła na wyspie jako niezwykle odważna amazonka, której ulubioną zabawką była strzelba i konna jazda; słynna ta Korsyka była również autorką poezji w języku włoskim i w dialekcie; rękopisy wprawdzie zginiły w pożarze, ale do dziś dnia Korsykanie powtarzają z pamięci rymy, przekazywane ustnie z pokolenia w pokolenie.

Pietro Giovacchini, wychowany w tradycyjnym domu, jest przywiązany gorąco do swojej ojczyzny, a piękno przyrody korsykańskiej jest jednym z ważniejszych motywów w całej jego twórczości. Pierwsze poezje wyszły z pod pióra czternastoletniego chłopca, ucznia liceum w Bastia. W r. 1927, mając lat siedemnaście, zakłada czasopismo korsykańskie — ale komunizujący i wpływowi dyrektor liceum Berthon konfiskuje cały pierwszy nakład i odbiera przyrządzone stypendjum. Mimo niepowodzenia, Giovacchini wypływa i wydaje w r. 1928 i 1930 dwa tomiki wierszy.

Nowy tomik, *Aurore*, który ma się ukazać w najbliższym czasie, zawiera trochę wierszy poprzednio wydanych, ale i wiele nowych, które wartością swoją przewyższają młodzieńcze próby. Słodczy i harmonia, to dwie zalety młodego Korsykanina. Kto zna włoski język, z łatwością zrozumie korsykańskie wiersze; oto urywek z sonetu do Gabrieli d'Annunzio.

*O tu Pueta fertile od arcanu
chi dubitaste d'ogni dolce affettu
ricevi d'un anforte paisanu
st'umile espressione di rispetto.*

*Mi dice lu to'nome pianu-pianu
Pucellinu chi cante in lu boschetti
e mentre crasce l'erba di veranu
sentu crasce la morte in lu mió pettu...*

Ale melancholija i naiwny wdzięk Giovacchiniego umie utąpić miejsca zgrzytom i gwałtowności, kiedy w inwektywie do niegodnych synów Korsyki wymawia im zdradę obyczaju i języka. Nawet i w tych wierszach gwałtownych nie zatracą się charakter poety, który jest, rzec można, nosobieniem korsykańskiego temperamentu, i wciela wszystkie dążenia i tęsknoty rodaków.

Na ziemi bagien i malarji, gdzie władze nie robią żadnych wysiłków dla podniesienia kraju, „w chwili, gdy wszystko tam obumiera, dialekt jest jedynym szczęściem jakie zostaje, ostatnią nadzieją...“ pisze wydawca poety. Dlatego akcenty melancholji, gorczy i oburzenia — skupiają się wokół tej ukochanej ziemi, jej odrębności języka i zwyczajów — odrębności, która jest skarbem, gdyż zastępuje niepodległość a niekiedy bywa jej zamiastem.

TEGOROCZNY KONKURS IM. VOLTY W RZYMIE

Mimo wojny, przygotowani gorączkowych i podniecenia ludności, wszystkie instytucje naukowe we Włoszech pracują normalnym trybem. Dorocznym konkursem im. Volty poświęcony był w ub. roku zagadnieniu szybkości w lotnictwie.

Jak wiadomo, Akademia Włoska dzieli się na cztery sekcje, które kolejno urządzają co roku *Convegno Volta*, gromadząc najwybitniejszych uczonych i artystów. Aby wypowiedzieli swoje zdanie we wszystkich aktualnych problemach technicznych, społecznych czy artystycznych.

W roku 1934 kongres debatował nad zagadnieniami współczesnego teatru, a opinie zgromadzonych odbiły się głośnie echem w całej prasie europejskiej, budząc zainteresowanie nie tylko fachowców, ale dyletantów i laików.

Kongres, który niedawno się odbył, organizowany przez sekcję matematyczno-przyrodniczą, był bardziej specjalny; przebieg jego śledzili głównie fachowcy, a wśród zebranych zasiadali najwięksi konstruktorzy lotniczy i uczeni fizycy świata.

Po mowach inauguracyjnych otwarł obrady Anglik, H. E. Wimperis, dyrektor badań naukowych w Ministerstwie Lotnictwa Wielkiej Brytanji. Następnie przemawiali inni przedstawiciele różnych narodów, rozpatrując wspólnie wiedzę zdobytą i owoce doświadczeń praktycznych.

W. W.

*

ROMAN FAJANS: *Wskreszone dzieło cesarów (Z podróży po Libji)*. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”. Warszawa 1935 r.

Staraniem Włoskiego Instytutu Kultury wiosną 1935 r. p. Roman Fajans wygłosił w Warszawie odczyt o Libji. Treścią odczytu były wrażenia prelegenta z jego podróży po tym kraju. Obecnie wydał p. Fajans książkę ilustrowaną. O ile sam odczyt nie wypadł efektownie, o tyle książka jest napisana dobrze. Przedmowę na półtoręj stronie napisał gubernator Libji, marszałek Italo Balbo. Książka p. Fajansa nie jest „ładną pracą historyczną, polityczną, ani informacyjną” — jak to sam autor zaznacza w „Słowie wstępnym”. „Więcej jeszcze — nie jest to wogóle jednolita całość, lecz poprostu zbiór wrażeń i spostrzeżeń dziennikarskich, rejestrowanych egoistycznie w rzadkich chwilach wypoczynku między długimi etapami podróży. — Z wrażeń takich, ujętych następnie w artykule dziennikarskie, powstał po rozszerzeniu i pogłębieniu tych ostatnich, — niniejszy raport”. Mimo to, co autor tak skromnie zaznacza na wstępie, trzeba przyznać, że książka napisana jest dobrze i zawiera wiele ciekawych informacji.

Śledzimy z zainteresowaniem pobyt autora zarówno w Trypolisie „europejskim”, jak i jego wędrowki po „Trypolisie gwiazdy i półksiężycu”, gdzie spotkał się ze Wschodem pełnym uroku egzotyki i tajemniczości. Następują wędrowki po ruinach Leptis Magna, tym afrykańskim pomniku świetności Cesarstwa, i wreszcie podróż do Gadamesu — „najdziwniejszego miasta”, tak do niedawna mało znanego europejczykom.

Przyjaciółom Włoch i wielbicielom dzieła Mussoliniego czytanie tej książki sprawi dużą przyjemność, bo daje obraz energicznej włoskiej polityki kolonialnej — która prowadzi z wolna lecz konsekwentnie do „wskreszenia dzieła cesarów”.

JERZY ANTONIEWICZ

PRZEGLĄD PRASY

FRANCJA A MY. Na jednostronność i powierzchowność naszej znajomości kultury francuskiej zwraca uwagę M. Lisiewicz w nr. 33 *Nowych Czasów*. Utworzyliśmy sobie schemat, wskutek którego nasze wyobrażenia o kulturze francuskiej stały się bardzo uproszczone. Nie używając tego określenia, przypomina autor, że w literaturze francuskiej oprócz zauważonego przez nas typu kultury, istnieje inny, bardzo wyraźny typ — typ pascaloński. W każdym wieku ma on swoich wybitnych reprezentantów, tak samo współcześnie. „Ludzie, mający oczy ku patrzaniu, z przerażeniem muszą widzieć, jak coraz bardziej tracimy język wspólny i możliwość porozumienia z Francją kulturalną, a jak coraz więcej znajdujemy cech wspólnych z wszystkimi prymitywami duchowymi naszej współczesności. „Dusza Francji, dusza narodu, która potrafi przemawiać wspaniałym dziełem Claudela czy Bernanosa, ta dusza jest dla nas wielką niewiadomą. Chwytny głupstewka, których ta kultura ma pod dostatkiem, gdyż dość na to jest bogata, ale głębokiego nurtu kultury francuskiej, wielkiej religijnej Francji nie znamy i nie odczuwamy. My wciąż myślimy o Francji filiternie... prawdę mówiąc nie nie rozumiemy z tego, co mówi wielka twórcza Francja”.

NIUDANA PRÓBA. W nr. 9 *Okolicy Poetów* usiłuje p. A. Łaszowski dać próbkę nowego typu krytyki, która ma polegać na bezpośrednim notowaniu przez krytyka przeżyć, wywołanych w nim przez dzieło artystyczne. Ofiarą „renortażu krytycznego” p. Łaszowskiego padł wiersz Przechosia *Z Tatr*. Bombastyka stylu p. Łaszowskiego, sztuczne wyolbrzymianie doznań wywołują raczej wrażenie komiczne. Wystarczy zacytować kilka zdań „A dalej: straszny przewrót świata, snadanie z ziemi w niebo, świat w uszach, łoskot, trzask i zachwyt aż przesywający, wzbija się w gardle prąd, gwałto-

wny podziw, że można było tak wyrazić, prężne powietrze dławi, ciśnienie strugątkliwą. — Jak trudno wychnąć zgęszczony słup liryzmu, już coraz więcej wzruszenia w całym ciele, tloczy, rozsadza krtań; teraz: czuję dygot poezji w przelyku, i wzbiera rytm, nareszcie samorodny, własny, tak daleki od nudziarstwa zwrotki...“ Dziwimy się redaktorowi Czernikowi, że toleruje tak wyraźną grafomanję pseudokrytyczną w swem piśmie. Przyhoś mógłby śmiało powiedzieć: Broni mnie, Boże, od moich przyjaciół!

NUMER JUBILEUSZOWY „BLUSZCZU”. Redakcja *Bluszcza* wydała numer jubileuszowy w siedemdziesięciolecie powstania tego pożytecznego pisma dla kobiet. Szczególnie materiał ilustracyjny przedstawia się dodatnio. *Bluszcz* podaje ilustracje z dawnych roczników. Nie mówiąc już o ilustracjach, które przedstawiają dawne mody (kapitałny obrazek: *Na wycieczce w górach*, dalej: *Amazonki* i t. p.), świetne są także obyczajowe rysunki — (szczególnie: *Dziewczynka z różą* — Juliusza Kossaka). Oczywiście — wartość zeszytu polega przedewszystkiem na uwzględnieniu dla obyczajowego. Kto wie, czy zeszyt nie byłby więcej interesujący, gdyby redakcja, zamiast artykułów współczesnych, umieściła utwory i artykuły z różnych okresów istnienia *Bluszcza*. Numer taki byłby obrazem zmian, które się dokonały w społeczeństwie polskim w przeciągu 70 lat. Odpowiednio skomponowany, może także obszerniejszy niż obecny, byłby miłym podarkiem redakcji dla czytelniczek pisma, a nawet zainteresowałyby głęboko miłośników kultury polskiej.

O DOSTĘPNOŚĆ POEZJI. W gwiazdkowym numerze *Tygodnika Ilustrowanego* porusza p. Wyka bardzo interesujące zagadnienie, a mianowicie sprawę niedostępności poezji współczesnej. P. Wyka stwierdza, że książek wielu poetów współczesnych w handlu księgarskim wogóle dostać nie można, gdyż wydawcy prowincjonalni nie dbają o zaopatrzenie księgarń w poezję. Nawet w bibliotekach publicznych nie można dostać tomików niektórych autorów. P. Wyka proponuje następujące wyjście: „należałoby utworzyć centralę tomików poetyckich. Autor (i nakładca) oddawałby część nakładu w komis. centrala wydawałaby katalogi, rozsyłane po różnych Krakowach teży się przydało... dla garstki chętnych zaistniałaby możliwość normalnego obcowania z poezją”. P. Wyka wymaga realizacji tego pomysłu od Zw. Zaw. Lit. Kto interesuje się współczesną liryką i zetknął się z tym objawem, wie, że nietylko w Krakowie, ale także w Warszawie nie można dostać tomików niektórych poetów współczesnych, musi przyznać niewątpliwą rację wywodom p. Wyki i popierać jego żądanie.

W. BAK

LISTY DO REDAKCJI

Kraków, 14 stycznia 1936.

Szanowna Redakcjo,

Spowodu pomeszczenia przez Redakcję na str. 12 nr. 1—2 *Pionu* listu prof. Doroszewskiego proszę i ja o umieszczenie następującego wyjaśnienia:

Moja informacja: „Okoliczności tak się złożyły, że nie utrzymał się (Benni) także w założonym przed kilku laty w Uniwersytecie Warszawskim laboratorium fonetyki eksperymentalnej” — nie była „podana z odległości”: cóż z tego, że nie mieszkam w Warszawie? zato byłem z nieboszczykiem w dostatecznie bliskich stosunkach. Stwierdziła

zaś ta informacja — bez podawania powodów — fakt, że w ostatnich kilku latach prof. Benni ani z pracowni fonetycznej sam nie korzystał, ani jej pracami nie kierował; cóż z tego, że nominalnie był jej „kierownikiem naukowym”?

Do informacji dodałem słowa: „choć wcale nie był obey temu działowi swej wiedzy”, by kto nie pomyślał, że się to stało spowodu mniejszej jego w tym właśnie dziale fachowości. Zbyteczne więc jest licytowanie się ze mną w ocenie Zmarłego na tym punkcie.

Ostatniego zdania: „Instytutowi temu (fonetyki eksperymentalnej) przekazał Zmarły swą cenną bibliotekę naukową” — w tym związku nie rozumiem. Ś. p. Benni uważał tę placówkę za tak ważną i tak był przywiązany do Warszawy, że choćby np. z jakiegokolwiek powodu istniały jakieś nieporozumienia między nim a istotnymi kierownikami warszawskiego Instytutu, napewno by swoich osobistych zadrażnień na Instytut nie przeniósł. Ja przynajmniej jestem o tem najgłębiej przekonany.

KAZIMIERZ NITSCH

Na tem wyjaśnienia w tej sprawie uważamy za wyczerpane. *Przyp. Red.*

MIEJDUNARODNAJA KNIGA

MOSKWA — Z. S. R. R. — Kuznieckij Most, 18.

Przyjmujemy prenumeratę na rok 1936 — na wszystkie czasopisma — wychodzące w Z. S. R. R. w językach rosyjskim, angielskim, francuskim i innych.

Posiadamy na składzie wielki wybór książek wydanych w Z. S. R. R. z wszelkich dziedzin nauki, techniki, medycyny i sztuki, jak również wydawnictwa beletrystyczne oraz książki dla dzieci.

Katalogi z poszczególnych dziedzin wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Zamówienia prosimy kierować:

GEBETHNER I WOLFF — WARSZAWA

Krak. Przedmieście 15 i Sienkiewicza 9.

„MÓJ PIES”

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
POŚWIĘCONY KYNOLOGJI.

V rok wydawnictwa.

OMAWIA:

życie, tresurę, wychowanie, współżycie i współpracę psa z człowiekiem.

PROWADZI DZIAŁY:

pies pokojowy,
pies myśliwski,
pies służbowy:

w wojsku,
w straży granicznej,
w policji państwowej,
w kolejniectwie i t. d.

Wystawy, próby polowe, pokazy, konkursy, fachowe porady, feljton literacki.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
WARSZAWA, 6 SIERPNIA 47,
TEL. 8.65.73. KONTO P. K. O. 9.898.

Wystawy, próby polowe, pokazy, konkursy,
fachowe porady, feljton literacki.

Numer styczniowy ukazał się.

„KUŹNIA MŁODYCH”

JEDYNE OGÓLNOPOLSKIE PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

WARUNKI PRENUMERATY:

kwartalna (5 nr.)	zł. 1
półroczna (10 nr.)	zł. 2
roczna (20 nr.)	zł. 4

cena numeru pojedynczego gr. 25

Ponadto każdy prenumeratork otrzymuje bezpłatnie wspaniałą premię wartości zł. 6 — powieść „Pilot Tex” A. Hagenbacha

RODZICE! zaprenumerujcie dla swych dzieci, uczęszczających do szkół średnich najciekawszy i najtańszy dwutygodnik

„KUŹNIA MŁODYCH”

WARSZAWA, UL. ŻÓRAWIA 7, TELEFON 8-31-06

Konto P. K. O. 8087.

Numery okazowe gratis

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. zł. 1.80; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.

DMietybr
SMCH
Lublin